

**Bartłomiej Kamiński, Tomasz Mickiewicz,
Kazimierz Tarchalski, Jan Winiecki**

EUROPA I ŚWIAT ZACHODNI: SZKODLIWE DLA GOSPODARKI NIE DOSTRZEGANE LUB LEKCEWAŻONE ZJAWISKA*

1. KLIMAT POLITYCZNY EUROPEJSKIEGO KRYZYSU

1.1. UCIECZKA ELIT OD RZECZYWISTOŚCI: ODŁÓŻMY NA PÓŹNIEJ TRUDNE DYSKUSJE I DECYZJE O OGRANICZENIU ROZDĘTEGO „SOCJALU”

Rzadko zwraca się uwagę na fakt, że kryzys strefy euro nigdy nie stałby się problemem w takiej skali, gdyby nie to, że jest on po prostu jednym z elementów długookresowego kryzysu państwa opiekuńczego. Wyjaśnienie tego, co jest pomijane w dyskusjach polityków, należy jednak zacząć od sprostowań terminologicznych. Błędne stosowanie pewnych pojęć utrudnia bowiem zrozumienie realiów. Ekonomiści różnych teoretycznych i filozoficznych orientacji nieprawidłowo używają terminu: „państwo dobrobytu”, mając na myśli państwo opiekuńcze (inaczej: państwo socjalne).

Tymczasem ludziom – w tym i politykom – należy przypominać przy każdej okazji, że *państwo dobrobytu* to kapitalistyczna gospodarka rynkowa, jedyny system gospodarczy, który daje ludziom szanse na rosnącą zamożność. Nazwać by

* Artykuł stanowi zaadaptowaną część drugą raportu: **EUROPA: PROBLEMY I PERSPEKTYWY** przygotowywaną na zlecenie Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. Autorzy raportu to profesorowie w tej uczelni. Prof. Bartłomiej Kamiński jest jednocześnie wykładowcą Maryland University w College Park, Md., a prof. Tomasz Mickiewicz – wykładowcą w London University College Uniwersytetu Londyńskiego.

ją można zdrowym drzewem. Natomiast *państwo opiekuńcze* można by raczej nazwać jemiolą. Gdy jest jej niewiele, to drzewo z tą jemiolą wygląda nawet ładniej, bardziej kolorowo. Ale gdy jej przybywa, drzewo zaczyna usychać.

I należy tłumaczyć, że stąd właśnie bierze się rosnąca niewydolność kapitalistycznej gospodarki rynkowej, obciążonej zbyt wielkim i nadal rosnącym ciężarem „socjału”, jak w skrócie określa się esencję państwa opiekuńczego. Świat zachodni (nie tylko kraje strefy euro) czeka w najbliższych 5–10 latach bolesna operacja stanięcia twarzą w twarz z twardymi wymaganiami przykrojenia „socjału” do możliwości kapitalistycznego rynku, coraz bardziej osłabionego przez rozrastającą się jemiolę państwa opiekuńczego (Grecja to tylko pierwszy, bardziej patologiczny od innych, przypadek.)

Te nieuniknione cięcia wydatków publicznych, to nie są – jak twierdzą niefrasobliwi majsterkowicze gospodarzy – jakieś akty swoistego masochizmu. Nie ma skuteczniejszej drogi powrotu na ścieżkę szybszego i stabilniejszego wzrostu gospodarczego. Nie są dla cięć wydatków skuteczną alternatywą podwyżki podatków (nawet z ulubionym przez demagogów dodatkiem: „dla milionerów i miliarderów”). Liczne badania wskazują jednoznacznie, że największe szanse na sukces w przywracaniu stabilności gospodarce mają programy ze znaczną przewagą cięć wydatków nad podwyżkami podatków. Najnowsze badania mówią o proporcji 85% do 15% (Alesina, Ardagna, 2010) – szerzej o tym w części drugiej artykułu.

Szanse stabilności i szybszego wzrostu nie wzrosną, jeśli będzie się zwiększać podatki. Może da to trochę satysfakcji zawistnym, ale skutki dla wzrostu gospodarczego będą raczej negatywne. Natomiast zwiększenie wydatków, czyli keynesowskie stymulacje, przynieść mogą marginalne jedynie efekty. Źródłem trwałego spowolnienia są bowiem wysokie udziały wydatków publicznych w PKB. Szczegółowo będzie o tym mowa w części drugiej, ale już tutaj należy przypomnieć, że udział tych wydatków w PKB świata zachodniego, nie tylko Europy, rośnie od lat 60. XX wieku. Po każdej dekadzie takich przyrostów następuje dłuższy okres niższego tempa wzrostu gospodarczego. W miarę jak z dekady na dekadę rośnie udział wydatków publicznych w PKB, z pewnym opóźnieniem maleje tempo wzrostu gospodarczego.

Pamiętajmy bowiem, że relacja wydatków publicznych do PKB pokazuje nam jednocześnie miarę tego, ile państwo zabiera tym, którzy tworzą owo bogactwo zwane produktem krajowym brutto. A jest to dziś w bogatych krajach europejskich ponad połowa! Jeśli więc przedsiębiorcy i inni słyszą o konieczności zwiększenia podatków, a wiedzą, że popyt rośnie powoli, to na pewno nie będą inwestować, zwiększać produkcji i zatrudnienia. Konkludując, droga do szybszego wzrostu gospodarczego w przyszłości zależy od uprzedniego zmniejszenia skali ssania przez jemiolę, czyli państwo opiekuńcze. Żeby dzielić, trzeba najpierw tworzyć, a żeby mieć co dzielić w dłuższym okresie, trzeba pozwolić temu drzewu rosnąć...

Kiedy rozmawia się w Polsce i za granicą na te tematy, często słyszy się pytanie: *jak to się stało, że nie było sygnałów ostrzegawczych, że wcześniej jakoś starczyło tych pieniędzy?* Wyjaśnienia są proste. Sygnały ostrzegawcze były – analitycy nie

raz ostrzegali przed nadchodzącym kryzysem. Byli oni jednak zakrzykiwani przez chór obrońców państwa opiekuńczego. To samo zresztą słyszymy i widzimy w działaniu także obecnie!. Natomiast powody, dla których udawało się tak długo unikać bankructwa państwa opiekuńczego są bardziej złożone.

Po pierwsze, powojenna ekspansja gospodarcza na Zachodzie sprawiła, że politycy byli przekonani o niemal nieograniczonych możliwościach rozwoju. Na rynek pracy w latach 50. i 60. XX w. wchodziły znacznie liczniejsze roczniki, niż odchodziły z niego na emeryturę czy rentę. Pieniądzy ze składek ubezpieczeniowych było więc w bród i politycy mogli dzięki temu okazywać się dobrymi wujkami, podwyższając poziom emerytur znacznie powyżej tego, który wynikałby z wysokości składek, wnoszonych przez okres pracy zawodowej osób przechodzących na emeryturę. Nie oznaczało to wówczas naruszenia równowagi między wpływami ze składek a wydatkami systemu ubezpieczeń.

Ale proporcje demograficzne stopniowo ulegały niekorzystnym zmianom. Więc politycy w latach 60., które były także latami ideologicznej ekspansji kolektywistycznych idei, zaczęli rosnać dorzucać pieniądze na „socjal” z kolejnego źródła, jakim były coraz wyższe podatki. W krajach OECD relacja wydatków publicznych do PKB (w skrócie: WP/PKB) zaczęła rosnać: z 29% w latach 60., do 37% w latach 70., 47% w latach 80. i do 50% w latach 90. XX wieku. Podatki, rzecz oczywista, rosły w podobnym tempie (Dodajmy też, że w Europie Zachodniej te relacje były z reguły jeszcze wyższe niż w liczniejszej grupie krajów OECD).

Niemiecki ekonomista Bernhard Heitger z Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej podjął próbę znalezienia zależności między wzrostem relacji WP/PKB a spadkiem dynamiki wzrostu gospodarczego (*The Scope of...*, 2001). Obliczył on, że wzrost udziału wydatków publicznych o 10 pkt. proc. owocuje w okresie dekady spadkiem tempa wzrostu PKB o 0,5% rocznie. Nowsze studia potwierdzają te negatywne relacje między rosnącym poziomem podatków i wydatków publicznych a słabnącą dynamiką PKB.

Wyniki wspomnianych badań potwierdzają – warto przypomnieć – pesymistyczne poglądy Ludwiga Erharda, ojca powojennego niemieckiego „cudu gospodarczego”. Erhard, obserwując szybki wzrost redystrybucji w zachodnich Niemczech, stwierdził już w 1964 r., że system oparty na zasadzie „życia z ręką w kieszeni sąsiada” nie może przynieść dobrych efektów gospodarczych w dłuższym okresie.

Prześledźmy, jak narastały problemy finansowania państwa opiekuńczego. Coś zaczęło zmieniać się pod koniec lat 70. XX wieku. Coraz wyraźniejsze było niezadowolenie obywateli ze wzrostu podatków, niestabilności wzrostu gospodarczego i rosnącej inflacji. Jednocześnie następował powrót do klasycznej ekonomii, wzmocnionej nowymi nurtami ekonomii neoinstytucjonalnej (teorii praw własności, teorii ekonomicznej analizy polityki, logiki działań zbiorowych i in.). Efektem zmian politycznych i intelektualnych był wybór takich wolnorynkowych polityków, jak Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii i Ronald Reagan w Stanach Zjednoczonych.

Ta liberalna kontrrewolucja „odsztyniła” w pewnym stopniu niektóre gospodarki zachodnie, przyspieszyła nieco ich wzrost gospodarczy i przyczyniła się do wzrostu nastrojów niechętnych dalszym podwyżkom podatków. Jednakże znaczne odłamy podatników opierających się dalszym podwyżkom podatków nadal domagały się wzrostu rozmaitych świadczeń społecznych. Jak to określił dowcipnie znany politolog z Kalifornii, prof. A. Wildavsky, *dostrzegliśmy nieprzyjaciela – i okazaliśmy się nim my sami*. Politycy dostrzegli owe swoiste rozdwojenie jaźni większości elektoratu i zaczęli szukać nowych sposobów umizgiwania się do wyborców. Wcześniej już zresztą dostrzegli jeden jeszcze sposób, nie wymagający podnoszenia podatków i sprawiający wśród wyborców wrażenie otrzymywania czegoś za nic. Były to regulacje zastępujące podatki jako instrument podnoszenia poziomu materialnego komfortu wyborców.

Regulacje podnosiły więc, co jakiś czas na wyższy poziom płacę minimalną, zwiększały liczbę dni wolnych od pracy (świąt i urlopów), skracaly tydzień pracy itd. Koszty tych regulacji nie musiały być ponoszone przez budżet, z wyjątkiem kosztów dotyczących pracowników sektora publicznego. Ponosili je pracodawcy. Ale, jak to przez lata podkreślał noblista Milton Friedman, nie istnieje obiad za darmo. Ktoś za niego musi zapłacić i tym kimś nie byli tylko pracodawcy. Pracobiorcy aktualni i potencjalni płacili również za tę hojność z cudzych kieszeni utratą pracy lub – częściej jeszcze – dłuższym okresem bezowocnego poszukiwania pracy, gdyż wyższe koszty przerzucone na pracodawców przekładały się na wyższe ceny produktów i usług, a w efekcie *ceteris paribus* – na niższy popyt i niższe zatrudnienie.

Skala umizgiwania się do elektoratu *via* regulacje jednakże nie wystarczała. Ponadto niepracująca część elektoratu niewiele mogła na tych regulacjach skorzystać. Zaczął się kolejny, brzemienisty w skutki okres, mianowicie zwiększania wydatków publicznych bez ekwiwalentnego zwiększania dochodów budżetu. Mówiąc jasno: okres zadłużania kraju. I okres ten zaczął się na długo przed wielkim kryzysem finansowym i trwa do dziś.. Zaciąganie długu u przyszłych pokoleń, które płacić miały za dzisiejszy „socjal” i za dzisiejsze zobowiązania wobec jutrzejszych emerytów, stało się zjawiskiem charakterystycznym dla większości krajów zachodnich. Deficyty budżetowe ostatecznie przestały być zjawiskiem charakterystycznym dla fazy recesji w cyklu koniunkturalnym.

Ta era finansowania „socjału” z deficytu budżetowego trwała niezmienną do rozpoczęcia w 2007 r. „wielkiego kryzysu finansowego”. W folklorze politycznym świata zachodniego ów kryzys miał być jakimś zdarzeniem szczególnym, jakąś katastrofą spowodowaną przez zachłanne, ciemne siły międzynarodowych finansów. Z punktu widzenia sposobów finansowania „socjału” w świecie zachodnim czas kryzysu jest tylko kontynuacją. Zmieniła się jedynie skala tych deficytów. Zaczęło się „wielkie zadłużanie”. A oto kilka przykładów tego, jak szybko od 2006 r. (ostatniego roku przed kryzysem) do 2010 r. rosła relacja wydatków publicznych do PKB w wybranych krajach:

- w USA relacja wzrosła z 36,0% do 42,3%;
- w Wielkiej Brytanii – z 44,3% do 51,0%;

- we Francji – z 52,7% do 56,2%;
- w Hiszpanii – z 38% do 45%;
- w Portugalii – z 44,5% do 50,7%;
- w Grecji – z 45,2% do 52,9% (w 2009 r.).

Uwaga polityków, finansistów i analityków koncentruje się zwykle na skali deficytów budżetowych i na relacji długu publicznego do PKB. Ale, jak podkreślono powyżej, to właśnie rosnąca relacja wydatków publicznych do PKB jest czynnikiem redukującym bodźce do pracy, zarabiania, oszczędzania i inwestowania i to ona powoduje spadek dynamiki wzrostu gospodarczego.

Ma to poważne następstwa, gdyż zamyka politykom drogę do „ucieczki z zadłużenia” przez stymulację makroekonomiczną. Wiele wskazuje na to, że politycy nie mają już więcej królików, które – w celu kontynuacji finansowania „socjału” – mogliby jeszcze wyciągnąć z coraz bardziej wyświechtanego cylindra. Nieprzyjemna fiskalna arytmetyka – by sparafrazować jednego z noblistów z ekonomii, prof. T. Sargenta – zmusi ich niezadługo do zmierzenia się z rzeczywistością.

1.2. UCIECZKA ELIT OD RZECZYWISTOŚCI: NIEMCY WYGRALI NA KRYZYSIE, TO NIECH NIEMCY ZAPŁACĄ ZA KRYZYS...

Innym przejawem ucieczki od rzeczywistości jest rosnąca presja na Niemcy jako kraj, który rzekomo zyskał najwięcej na powstaniu strefy euro, a więc powinien wnieść największy wkład w jej ratowanie, mówiąc prościej: niech Niemcy sfinansują rozmaite przedsięwzięcia ratunkowe. Rosnącej presji towarzyszy też rosnąca niechęć do Niemiec, Kanclerz Merkel i Niemców w ogólności, że ci mają czelność domagać się, by inni uporządkowali najpierw swoje finanse¹.

Koronnym argumentem, że to głównie Niemcy skorzystały na stworzeniu Eurostrefy, są nadwyżki w handlu zagranicznym osiągane przez Niemcy, które w 2009 r., czyli roku najgłębszego kryzysu, przekroczyły 5% niemieckiego PKB. Tylko ci, którzy tak twierdzą, nie zadali sobie pytania, czy owe 5% PKB w 2009 r., to był wyjątek, który nie zdarzył się wcześniej, np. przed wprowadzeniem strefy euro, czy też nadwyżka w handlu zagranicznym jest immanentną cechą niemieckiej gospodarki.

Odpowiedź znajdziemy w tabeli 1, w której statystyki bilansu handlowego Niemiec dla lat 1955–1983 pokazują wyraźnie, że przez cały ten okres Niemcy miały – mniejszą lub większą – nadwyżkę eksportu nad importem. Już w 1955 r.

¹ Niechęć do Niemców jest widoczna w licznych tytułach i tekstach wypowiedzi. Jedna z niedawnych okładek londyńskiego „The Economist” pokazywała tonący statek „Europa” i pytanie do kanclerz Merkel: „Czy może wreszcie zechciałaby Pani zmienić kurs?”, a wcześniej „Wall Street Journal” opublikował artykuł pod tytułem: „Groźna niemiecka maszyna eksportowa wymaga włączenia biegu wstecznego”. Polska nie wyróżnia się, niestety, na plus, bo i u nas w „Dzienniku-Gazecie Prawnej” można znaleźć tytuł: „Jak Niemcy zarabiają na kryzysie”, z zawistnym tekstem, że jest tylko jeden kraj, który wie gdzie dziś prawdziwe *dolce vita*.

szybko odbudowujące swą gospodarkę Niemcy Zachodnie też miały ponad 5% PKB nadwyżki eksportu. Czyli znaczenie posiadania wspólnej waluty, o ile istnieje w ogóle, jest raczej niewielkie. O nadwyżce eksportowej decydują najwyraźniej inne czynniki.

W handlu, nie tylko międzynarodowym, obok czynnika cenowego ważną rolę odgrywa jakość wykonawstwa, nowoczesność i inne pozacenowe czynniki konkurencji. W dużym stopniu można je określić jako reputacyjne. Otóż Niemcy od dawna mają wysoką reputację jako producenci maszyn i urządzeń, artykułów precyzyjnych i optycznych czy materiałów chemicznych. I dlatego popyt na ich produkty jest nieodmiennie tak wysoki (por. Winiecki, 2012).

Tabela 1. Saldo obrotów handlu zagranicznego Niemiec jako % PKB w latach 1955–1983

Rok	Saldo (w % PKB)
1955	+5,4
1960	+3,0
1965	+1,0
1970	+1,2
1975	+2,7
1980	+1,6
1983	+4,3

Źródło: *Economic Statistics 1900–1983* (1985).

Tego stanu rzeczy nie zmieniały przez dziesięciolecia kolejne rewaluacje marki. Jak dziś na Chiny, tak przedtem na Niemcy wywierano presję na wzmocnienie marki, w czym widziano lekarstwo przeciw trwałym niemieckim nadwyżkom w bilansie handlowym i płatniczym. W odróżnieniu od Chin komunistycznych, Niemcy podchodzili ze zrozumieniem do problemów swoich zachodnich partnerów i co jakiś czas rewaluowali markę. Nadwyżka na krótko się zmniejszała, a następnie zaczynała ponownie rosnać. Po prostu trudno było w gospodarce opartej na prywatnej własności i zysku zrezygnować z kupowania najlepszego produktu potrzebnego firmie.

Jeśli więc nie z pasytywowania na Eurostrefie, to skąd biorą się tak dobre wyniki Niemiec? Ano, z ciężkiej pracy i licznych wyrzeczeń. Był taki okres, od końca lat 80. XX w., że Niemcy byli przez wysokiej klasy analityków uważani za „chorego człowieka Europy”, który w następstwie ogromnego ciężaru państwa opiekuńczego i przeregulowania gospodarki (zwłaszcza rynku pracy!) nie był w stanie sprostać konkurencji i rósł najwolniej spośród „starych” krajów Unii.

W którymś momencie zrozumiano w Niemczech, że tak dalej już się nie da iść. Zaczęto, na niemiecki sposób, to znaczy powoli i po tysiącu konsultacji, zmieniać pewne rzeczy. Rządy chadecji pod przywództwem kanclerza Kohla zaczęły zmniejszać nieco górę „socjału”. Ta (jak to w rozmowach z niemieckimi kolegami

nazywał jeden z autorów artykułu) *Millimeterpolitik* zaczęła przynosić efekty. Udział wydatków publicznych w PKB (który jest dobrą miarą istniejących bodźców do pracy, zarabiania, oszczędzania i inwestowania) osiągnął szczyt w 1995 r. – 54,8%, a potem zaczął się zmniejszać, aby wreszcie ustabilizować się poniżej 50%. Nawet w kryzysowym 2009 r. nie przekroczył on połowy PKB (47,5%), a dzisiaj jest na tym samym poziomie, co w Polsce (45–46%). Dla nas to bardzo dużo, ale biorąc pod uwagę punkt startu Niemiec, to niemałe osiągnięcie.

Zmieniać się zaczęły też regulacje. Niemcy jako jedni z pierwszych w Europie wyciągnęli wnioski ze starzenia się społeczeństwa i zagrożenia, jakie ono stanowi dla finansów publicznych w ogóle, a w krajach patologicznie przerośniętego państwa opiekuńczego w szczególności. Dlatego ustawę o (stopniowym) wydłużaniu wieku przechodzenia na emeryturę do 67. roku życia dla mężczyzn i kobiet wprowadzono tam wcześniej niż gdzie indziej. Zwiększono też minimum czasu pracy w uprzywilejowanych zawodach, takich jak np. nauczyciele, z – wyższego niż w Polsce – minimum 21 godzin tygodniowo najpierw do 24, a potem do 28 godzin.

Po chadkach przyszli socjaldemokraci, którzy też dołożyli cegiełkę do budowy bardziej efektywnej i konkurencyjnej gospodarki niemieckiej. Za rządów kancлера Schroedera rozluźniono niesłychanie restrykcyjne reguły zwolnień z pracy, ograniczono też nieco możliwości żerowania na systemie zasiłków dla bezrobotnych, a także wprowadzono szereg innych innowacji.

Skoro mówimy tutaj o odwadze niemieckich elit, to warto też podkreślić umiarkowanie i dyscyplinę niemieckiego społeczeństwa. Płace w Niemczech prawie nie rosły w wymiarze realnym przez więcej niż dekadę. Konsumpcja prywatna znajdowała się w stanie stagnacji. Reformy czasów Kohla i Schroedera nie zmieniły, rzecz jasna, gospodarki niemieckiej w wolnorynkową, ale dały nieco więcej swobody niemieckim firmom. I te wykorzystały stworzone możliwości. Gospodarka przyspieszyła, a zatrudnienie rośnie i, co ważniejsze, w sektorze prywatnym, a nie jak np. we Francji poprzez tworzenie na wpół fikcyjnych miejsc pracy w administracji (co obiecał w kampanii wyborczej kandydat, a obecnie Prezydent Hollande).

Jest oczywiste, że reformy zarówno w zakresie wydatków, jak i regulacyjne, potrafią dla niektórych być bolesne. Część niemieckiego społeczeństwa była (i jest nadal) niezadowolona z faktu, że manna socjalna spada z nieba (nieco) węższym strumyczkiem. Z kolei nauczyciele są niezadowoleni z podwyższonego minimum czasu zajęć w szkole. A wszyscy pracujący mają za sobą dekadę i więcej bardzo wolnego tempa wzrostu płac.

Ale to dzięki temu umiarkowaniu w drugiej połowie poprzedniej dekady nastąpiła poprawa konkurencyjności niemieckich produktów. Nic więc dziwnego, że poniósłszy owe – wcale niemałe – koszty ustabilizowania gospodarki i przyspieszenia wzrostu gospodarczego większość Niemców z niechęcią patrzy na tych, których mieliby wziąć częściowo na swój garnuszek. I to garnuszek, do którego przez długi czas przybywało tak niewiele (a zaczęło przybywać właśnie w wyniku kosztownych reform). Przypominał o tym niedawno redaktor liberalnego pisma „Die Zeit” Joseph Joffe, że niemiecka konkurencyjność wzięła się z przeprowadzonych reform, do których „Club Med” nie pali się, by je przeprowadzić (Joffe, 2012).

Obok niechęci Niemców do płacenia za rozrzutność innych nie mniej ważny wydaje się argument, który do lata 2012 r. praktycznie prawie nie pojawiał się w dyskusjach politycznych; domagano się w nim od Niemiec finansowania różnych pomysłów na ratowanie strefy euro. Autorom artykułu chodzi o niebezpieczeństwo ekonomiczno-finansowego przeciążenia Niemiec zobowiązaniami z tytułu rozmaitych przedsięwzięć ratunkowych. Bierze się ono z forsowania rozwiązań instytucjonalnych, które mają wysokie prawdopodobieństwo niepowodzenia, tworzą zachęty do kontynuacji „jazdy na gapę” w strefie euro i zmniejszają presję na rządy i społeczeństwa w kierunku realizacji trudnych reform. Ale nie tylko. Niebezpieczne jest także i to, że większość spośród nich opiera się – co tu udawać – na wykorzystywaniu wysokiego standingu finansowego jednego kraju strefy euro, to znaczy Niemiec.

Prawie wszyscy amatorzy ratowania strefy euro w jej dotychczasowym kształcie proponują rozwiązania, które opierają się na jednym filarze. Tym filarem jest wspomniany wyżej wysoki standing finansowy Niemiec. Tyle że filar ten nie pozostanie niewzruszony na wieki, gdy nawiesza się na nim zbyt wielki zakres zobowiązań. A co się stanie, gdy rynki finansowe ocenią, iż skala narzuconych Niemcom zobowiązań przekracza granice bezpieczeństwa finansowego tego kraju? I Niemcy utracą swą najwyższą wiarygodność kredytową? Warto zauważyć, że pierwsze sygnały zaniepokojenia agencji ratingowych mamy już za sobą.

Należy rozumieć obawy samych Niemców przed kolektywizacją kosztów euro-strefy i jednoczesną prywatyzacją korzyści z „jazdy na gapę” oraz unikania trudnych i kosztownych kroków stabilizacyjnych przez kraje prowadzące rozrzućną politykę fiskalną. Ale krytycyzm wobec Niemiec zaczynają równoważyć – nie liczne na razie – głosy rozsądku. Pojawiają się więc artykuły, w których ostrzega się, że ci Europejczycy, którzy „izolują i przeciążają Niemcy, [czynią to – J.W.] na własne ryzyko” (Rachman, 2012).

Tak czy inaczej, z sympatii, czy z rozsądku (oświeconego interesu własnego) warto wspierać Niemców w ich staraniach zachowania równowagi i racjonalnej oceny konsekwencji oczekiwanych od nich poświęceń. Załamanie standingu ekonomiczno-finansowego tej największej i najbardziej sprawnej gospodarki europejskiej byłoby znacznie większym zagrożeniem niż cokolwiek, co mogłoby się wydarzyć ze strefą euro – zagrożeniem nie tylko dla samych Niemiec, ale także dla tych krajów, których gospodarki są ściśle splecione z gospodarką niemiecką. A więc także dla Polski. Zamiast ślepo wspierać różne wielce ryzykowne przedsięwzięcia ratunkowe strefy euro, należy, wspierając Niemcy, nawoływać do zdroworozsądkowej analizy kosztów i efektów oraz określenia poziomu ryzyka tych przedsięwzięć.

Z tej perspektywy należy zresztą patrzeć na całą Unię Europejską, nie tylko na wspólną walutę. Klasyczne podejście liberalne wiąże przyczyny i skutki: poziom wolności ekonomicznej i efekty funkcjonowania w warunkach takiej wolności. Taka analiza kosztów/efektów podpowiada, że fundamentem wzrostu zamożności i stabilności (nie tylko ekonomicznej!) w powojennej zachodniej

Europie są liberalne konstrukcje unii celnej i wspólnego rynku. Po upadku komunizmu stały się one takimi również dla naszej części Europy.

„Wartość dodana” (że użyję czysto ekonomicznej terminologii) całej reszty unijnego bagażu jest w najlepszym razie dyskusyjna. Dotyczy to zarówno ponad stu tysięcy stron unijnych regulacji, owego *acquis communautaire*, środków pomocowych, antycytoplenniczej krucjaty czy wreszcie unii walutowej w jej przyjętym – i dotychczas realizowanym – kształcie. Należy dokonać ponownej oceny tychże i albo je w bezpieczny sposób poprawić, albo – jeśli okaże się to niemożliwe – mieć odwagę spisać na straty. Niestety, na razie ogromna większość europejskich elit ciągle ma nadzieję, że nic nie trzeba będzie zmieniać, jeśli tylko uda się zmusić Niemców, by raz jeszcze okazali się „dobrymi Europejczykami” i sygnęli groszem. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami sytuacji, w której niemieckie pieniądze czy gwarancje pieniędzy mogłyby okazać się niewystarczające...

1.3. UCIECZKA OD RZECZYWISTOŚCI: RECEPTY POPULISTYCZNYCH ANTYELIT

Zanim przyjrzymy się populistycznej opozycji w zachodniej Europie, warto jeszcze dokończyć oceny rządzących elit. Otóż te elity, lewicowe (socjaldemokratyczne) czy prawicowe (konserwatywne bądź konserwatywno-liberalne), cierpią nie tylko na *disconnect*, czyli rozłączenie preferowanych przez nie rozwiązań i realnego świata, ale także na grzech pychy.

Przypadek wad konstrukcyjnych i wad polityki prowadzonej w ramach skonstruowanych instytucji strefy euro jest doskonałym przykładem popełnianego notorycznie grzechu pychy europejskich elit. Ich sposób myślenia można scharakteryzować następująco: „Oto my, rządzący Europą, moiżni tego europejskiego świata, stworzyliżmy – czerpiąc z zasobów naszej nieskończonej mądrości – Europejską Unię Walutową, która ma trwać po wiek wieków. I nie tyle dla wygody życia gospodarczego i obywateli tu żyjących, ile jako dowód naszej dalekowszroczności i potrzeby postępowych przemian”.

Otóż takie podejście do problemu stwarza ogromne bariery dla racjonalnego dyskursu na temat niezbędnych zmian w strefie euro. Wszelkie koncepcje ograniczeń liczby członków strefy do tych, którzy zdolni są stosować się do reguł gry Eurostrefy spotyka się z natychmiastową krytyczną kontra, że to pogrzebie „wielki projekt europejski”. To samo dotyczy reguł gry Eurostrefy, których stosowanie prowadziłoby do automatycznego wykluczania tych, którzy chcą w niej „jeździć na gapę”. Akceptowalne są tylko te rozwiązania, które nie odnoszą się do faktu, iż członkostwo w klubie nakłada na członków pewne obowiązki, zaś ci, którzy się z tych obowiązków nie wywiązują, powinni zostać z klubu wykluczeni.

Jest to sytuacja doskonale opisana w dawno napisanych esejach filozoficznych Leszka Kołakowskiego, zatytułowanych *Rozmowy z diabłem*. Jedno z opowiadań owego filozofa dotyczyło sytuacji, w której ktoś dostał się do nieba i tam właśnie „zbiesił” się. Problem filozoficzny był następujący: Czy można wydzielić z nieba kogoś, kto boskim wyrokiem został uznany za osobę godną niebiańskiej przyszło-

ści? Przecież taka decyzja oznaczać musi podważenie zasady, że Bóg jest nie tylko wszechmogący, ale także wszechwiedzący – a więc nie może się mylić!... Z czymś podobnym mamy właśnie do czynienia w Europie. Oto możni strefy euro zdecydowali się stworzyć instytucję, która istnieć ma po wiek wieków. I każda propozycja zmiany, która nie podtrzymuje fikcji wiecznotrwałości Eurostrefy, podważa domniemanie nieskończonej mądrości, czyli nieomylności jej twórców.

Mamy więc europejskie elity niezdolne do oparcia swoich propozycji ratunkowych na fundamentalnej zasadzie filozoficznej zachodniej cywilizacji, jaką jest racjonalność instrumentalna. To znaczy, że podejmowane działania muszą być adekwatne do realizacji celów, które chce się osiągnąć, stosując owe instrumenty.

Niestety antyelity – czyli rozmaite ugrupowania populistyczne – oferują jeszcze mniej kompetencji i rozsądku. Oczywiście, są one popularne i ta popularność rośnie w miarę, jak pogarsza się sytuacja gospodarcza i jak pojawiają się zapowiedzi i próby (na ogół dość nieśmiałe) dokonania korekt ilości manny spadającej z nieba, czyli strumienia beneficjów „państwa socjalnego”. Pomysły populistycznych antyelit, jeśli wychodzą poza protesty, są rozpaczliwie mało kompetentne. Przyjrzyjmy się poglądom i postulatam antyelit we Francji, gdzie i lewackie (skrajna lewica), i „prawackie” (skrajna prawica) ugrupowania zdobyły łącznie około jednej trzeciej głosów w niedawnych wyborach prezydenckich i parlamentarnych.

I co one oferują niezadowolonemu społeczeństwu? Skrajna lewica oferuje stare, zużyte komunały: cisnąć bogatych, opodatkować banki, podnieść płace, zakazać zwolnień z pracy itd. Jeśli czymś różnią się te propozycje od tego, co zapowiadają rządzący socjaliści w stylu Prezydenta Hollande’a, to raczej formą niż treścią. Historia dowiodła, że nic dobrego z tego nie może wynikać i nie wyniknie. Niezależnie od tego, czy rządzić będzie lewica należąca do elity, czy do antyelity.

A co z pomysłami na przyszłość antyelitarnego Frontu Narodowego na prawicy? Ich pomysły są nielepsze. Wprawdzie można zrozumieć postulat wyjścia Francji ze strefy euro, ale gdy dwóch mówi to samo, to wcale nie musi znaczyć „to samo”! Szefowa stronnictwa pani Marie Le Pen mówi bowiem jednym tchem o wyjściu nie tylko ze strefy euro, ale i z unii celnej, czyli faktycznie z Unii Europejskiej, co oznacza, iż nie rozumie ona, że to właśnie unia celna i wspólny rynek są fundamentem, na którym zbudowana została zamożność „starych” krajów Unii, w tym także Francji. Całą resztę można różnie oceniać, ale to jedno jest bezsporne w świetle wiedzy ekonomicznej.

Obalenie tego fundamentu zamożności ma się odbywać pod hasłem ochrony miejsc pracy dla Francuzów. Może zwabić wielu, którzy nie mają pojęcia o ekonomii i nie rozumieją, że utrzyma się istniejące, na ogół gorsze, miejsca pracy w niskowydajnych gałęziach produkcji, ale utraci się miejsca w proeksportowych, bardziej wydajnych i opłacalnych gałęziach. Ale to tylko początek problemów!

Pojawia się bowiem pytanie, czy Francuzi pójną znów pracować do zakładów włókienniczych, odzieżowych i innych. Przecież będą tam mieli stawki płac znacznie niższe od tych, które otrzymywali w zakładach pracy, z których zostali zwol-

nieni. Także nowo wchodzący na rynek pracy mają inne (często mało realistyczne) oczekiwania. I jedni, i drudzy zwrócą się raczej do i tak już przeciążonego systemu opieki społecznej po zasiłki, których we Francji jest – jak mickiewiczowskich much na Litwie – dostatek. Jedyni, którzy być może pojawią się w tych zakładach (o ile takie powstaną!), to będą imigranci. I to też tylko tacy imigranci, którzy przybyli do Europy, by tu pracować, a nie po to by wygodnie (na ich poziomie oczekiwań) żyć sobie z „socjału”. Ale partia pani Le Pen jest też przeciwko imigracji. I w dodatku, jak większość partii – zarówno „mainstreamowych”, jak i populistycznych – nie rozumie różnicy między tymi dwoma rodzajami imigracji do bogatej Europy.

1.4. UCIECZKA OD RZECZYWISTOŚCI: POŁUDNIE PATRZY NA EUROPE

Jak do tej pory, opisywaliśmy celowe najczęściej odrzucenie realiów i poszukiwanie tematów oraz rozwiązań zastępczych przez polityczne elity Europy. Włączyliśmy w te rozważania także antyelity – rosnące w siłę partie populistyczne – aby udowodnić, że antyelity również nie mają niczego do zaoferowania borykającej się z poważnymi problemami Europie. Problemy są poważne, natomiast środki, które mogłyby rozwiązać te problemy, poważne najczęściej nie są.

Zauważają to nie tylko nieliczni Europejczycy – czy szerzej: część (znacznie mniejsza) zachodnich elit. Zauważają to także w krajach Południa, jak od pewnego czasu określa się kraje Azji, Afryki, Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Ameryki Łacińskiej. Politycy z tych obszarów naszego globu, zwłaszcza ci, którzy uczestniczą w spotkaniach rozmaitych instytucji gospodarczych i finansowych współczesnego świata, patrzą z pewnym zaskoczeniem i z rosnącą irytacją na zachowania Europejczyków, zwłaszcza tych ze strefy euro. W ich oczach wszystkie pomysły w rodzaju euroobligacji, mutualizacji zobowiązań banków, dodruku pieniądza przez Europejski Bank Centralny i inne propozycje jawią się jako działania zastępcze. Jako chęć uniknięcia tych – dobrze znanych – programów stabilizacyjnych, które pociągają za sobą bolesne cięcia wydatków publicznych i jako takie mających określone koszty społeczne i polityczne.

Inaczej mówiąc, Europejczycy po prostu nie chcą zastosować się do recept, które przedtem oferowali popadającym w ekonomiczne tarapaty krajom Południa. Elity krajów Południa podejrzewają jeszcze coś gorszego, mianowicie że Europejczycy w swojej pysze uważają w głębi duszy, iż oni są powyżej takich prostych, bolesnych, ale skutecznych – jak dowodzi historia – działań. I trudno dziwić się Południu, że tak uważa. W końcu polityczne rozgrywki wokół zmian konstrukcyjnych w strefie euro przez najważniejsze politycznie państwa europejskie (patrz punkt 1.1) wskazują, że tak jest w istocie.

Zmienia się więc stosunek do Europy. Niegdyś pełen rewerencji i skłonności do akceptacji europejskich rekomendacji w sprawach rozwoju gospodarki, nauki i in., dzisiaj pełen widocznej irytacji, a nawet rosnącego protekcjonalizmu graniczącego z lekceważeniem. Wiele mówi na ten temat rysunek, który jeden z autorów zauważył w hinduskim dzienniku „Economic Times” podczas konferencji

w New Delhi. Jest to satyryczna wizja XXI w., z Indiami w roli najszybciej rosnącej gospodarki światowej. Europę na owym rysunku reprezentuje, jak widać, staruszek z naszyjnikami z eurogwiazdek na szyi i napisem: „Unia Zbankrutowanych Emerytów”.

Można, oczywiście, potraktować to jako typową *Schadenfreude*. Oto były europejskie kolonie i biedne kraje, pozostawione w tyle przez szybko rosnący w ostatnich kilkuset latach świat zachodni, odreagowują lata frustracji i kompleks niższości. To wszystko prawda. Tyle, że rodzaj złośliwego komentarza trafia w dziesiątkę².

Krajom Południa, a zwłaszcza tej jego części, która szybko przekształca się w uprzemysłowioną średnio rozwiniętą gospodarkę, nie podobają się też inne pomysły Europy – tym razem dotyczące ich bezpośrednio. W artykule nie zajmujemy się szczegółowo polityką klimatyczną Unii Europejskiej, głównego proponenta takiej polityki w skali światowej. Niemniej nie sposób nie uwzględnić tej kwestii także w kontekście relacji Europy z Południem. Dotyka ona bowiem szybko słabnącej pozycji Europy w stosunkach międzynarodowych, a zwłaszcza stosowania tego, co politycy europejscy i ich apologety nazywają *soft power*. Otóż w miarę jak Europa, oferując swoim obywatelom coraz więcej „socjalu”, wydawała coraz mniej na obronność, stworzyła sobie usprawiedliwienie właśnie w postaci doktryny „miękkiej siły”. Miałyby to być siła moralna działań w dobrej sprawie, takiej jak np. walka z globalnym ociepleniem spowodowanym przez człowieka.

Pozostawmy na uboczu dość wątpliwą – i coraz silniej poddawaną w wątpliwość – wiedzę naukową stojącą za ową „walką”. Pozostawmy na uboczu nawet absurdalną ekonomikę walki z globalnym ociepleniem. Lord Lawson, były minister finansów w rządzie Margaret Thatcher, przedstawił tę ostatnią kwestię w swej niedawnej książce *An Appeal to Reason* (Lawson, 2010). Potraktował on alarmistyczne projekcje ONZ-owskiej komisji (IPCC) poważnie i ocenił na podstawie ich własnych projekcji różnice kosztów między zlekceważeniem owego postępującego ocieplenia a wydatkowaniem monstrualnych pieniędzy na niedopuszczenie do owego ocieplenia (zresztą, dodajmy, bez większych szans na sukces w postaci obniżenia temperatury!).

Otóż gdyby nie robić nic, pisze Lawson, to różnice w sensie uszczerbku dla wzrostu zamożności w wyniku globalnego ocieplenia byłyby minimalne. Bogaty Zachód w XXI stuleciu zwiększyłby swój PKB o 260%, a kraje Południa zwiększyłyby swój łączny PKB ponad ośmiokrotnie. Tymczasem, wydając monstrualne pieniądze (i rujnując po drodze gospodarkę świata zachodniego), PKB Zachodu wzrósłby raptem o 270%, a tenże PKB krajów Południa zwiększyłby się nieco ponad dziewięciokrotnie. Oczywiście, same liczby znaczą mniej niż niewiele; ilościowe projekcje tempa wzrostu w skali stulecia mają wartość niewiele większą

² Tak samo jak z drugiej strony ideologicznego spektrum nie mniej złośliwy i celny jest komentarz na tym samym rysunku do Kuby i Wenezueli, opatrzonych nazwą: „Socjalistyczny Park Jurajski”.

niż wrócenie z fusów. Niemniej pokazują one, że wielce kosztowne poświęcenia nie służą niczemu.

Szaleństwa Zachodu – mógłby ktoś powiedzieć – obciążają kosztami tylko Zachód; kraje Południa na zasadzie *Schadenfreude* powinny cieszyć się, że te pierwsze same „strzelają sobie w stopę”, spowalniając własny rozwój gospodarczy. Jednakże i historia gospodarcza ostatniego stulecia, i teoria ekonomii temu przeczą. Osłabienie w krajach bogatych zawsze spowalnia wzrost gospodarczy w krajach mniej zamożnych (dotyczy to nie tylko Europy Środkowej i Wschodniej!). I choćby z tej tylko przyczyny kraje Południa mogą czuć się zaniepokojone.

Ale to nie wszystko. Chęć krucjaty antyociepleniowej każe Europie domagać się od innych zobowiązań do zmniejszenia emisji gazów ociepleniowych z CO₂ na czele. A to już oznaczałoby bezpośrednie komplikacje i koszty dla słabiej rozwiniętych gospodarek Południa. Ponadto ambicje przywództwa kreują nowe pola konfliktu, jak np. wspomniany już podatek „antyociepleniowy” od samolotów latających po Europie i do niej.

Męczące niekiedy moralizatorstwo europejskich elit w tej sprawie – i w innych też! – budzi nie tylko irytację, ale i opór. Oczywiście, europejskie elity nigdy nie przyznają się, że tak reklamowana przez nie same „miękką siłą” (używany w stosunkach międzynarodowych termin: *soft power*) Europy coraz mniej znaczy poza Europą (a w najlepszym razie poza światem zachodnim). Politolog Karl Deutsch używał określenia „siła netto” (*net power*). Rozumiał przez to różnicę między przekonaniem jakiegoś podmiotu międzynarodowego do określonego działania bez zaangażowania przez przekonujący podmiot siły („twardej” siły w świetle powyższych rozważań), a zaangażowaniem tej „twardej” siły, która zmusiłaby ów podmiot do pożądanego zachowania (Deutsch, 1966). W kategoriach tej teorii siła netto Europy Zachodniej jest coraz mniejsza. Same intencje, a nawet przykład, już nie wystarczają.

2. NIEDOSTRZEGANIE CIĘŻARU SEKTORA PUBLICZNEGO I NISKIEJ SKUTECZNOŚCI STYMULACJI MAKROEKONOMICZNEJ JAKO CZYNNIKÓW OSŁABIAJĄCYCH DYNAMIZM EUROPEJSKIEJ GOSPODARKI

2.1. STARANIA O RATUNEK STREFY EURO, A ROSNĄCA NIERÓWNOWAGA FINANSÓW PUBLICZNYCH

Kolejne projekty stworzenia długookresowego mechanizmu instytucjonalnego, który jednocześnie umocniłby strefę euro już teraz, stabilizując przy tym sytuację finansów publicznych krajów borykających się z kłopotami (oraz sytuację europejskich banków), mają jedną cechę wspólną. W żaden sposób nie odnoszą się do związków kosztów „europejskiego modelu socjalnego” z obecnymi (i narastającymi) kłopotami krajów strefy euro. Owszem, zdarza się niekiedy, że w jakichś wypowied-

dziach pojawia się kwestia kosztów finansowania europejskiego modelu socjalnego (państwa opiekuńczego), natychmiast „wytlumiona” zresztą afirmacją tegoż modelu. Ale te wypowiedzi pojawiają się na ogół wówczas, gdy usprawiedliwia się wysokość długu publicznego. Takie podejście myli jednakże przyczynę ze skutkiem.

Przyczyną problemów finansowania państwa opiekuńczego jest jego nieustająca ekspansja, mierzona udziałem wydatków publicznych, a zwłaszcza transferów, w PKB. Rosnący dług publiczny jest zaś skutkiem tego, że politykom nie wystarcza odwagi, by powiedzieć mieszkańcom ich krajów, że państwo opiekuńcze w jego obecnym kształcie wymaga kolejnego wzrostu podatków. Jeszcze mniej odwagi, a często i chęci, mają politycy, by powiedzieć im, że owo państwo opiekuńcze wymaga przykrojenia do możliwości coraz wolniej rosnących gospodarek. Z tych to właśnie przyczyn wolą zadłużać gospodarke. Dlatego mniej więcej od przełomu lat 80. i 90. XX w. dług publiczny mierzony relacją do PKB rośnie w większości krajów europejskich (i innych krajów zachodnich). Globalny kryzys finansowy nie zmienił bynajmniej wzorca fiskalnych zachowań państw „starej” Europy; przyspieszył jedynie proces zadłużania.

Gospodarki zaś rzeczywiście rosną coraz wolniej, czego przyczyny również nie są tematem rozważań polityków Europy (i szerzej: Zachodu), a jeśli są – to na ogół przedmiotem dyskusji wiążących tempo wzrostu gospodarczego z oddziaływaniem polityki makroekonomicznej. Czyli ogromna większość rozważań polityków dotyczy spraw „dojtrkowych”. Szybko, już jutro, a najlepiej jeszcze dzisiaj podstymulujmy gospodarke i gospodarka przyspieszy. Nie przyspieszy, a w każdym razie w sposób trwały.

W pierwszej części artykułu wskazaliśmy na wyniki badań Bernharda Heitgera, który powiązał coraz niższy wzrost PKB z coraz wyższym udziałem wydatków publicznych w relacji do PKB w latach 1960–2000. Część statystyk zawiera tabela 2.

Nawiązując do pracy Heitgera (2001), warto też zwrócić uwagę na dokonane przez niego porównawcze szacunki tzw. tradycyjnych funkcji państwa. Otóż według tychże szacunków wydatki na te tradycyjne cele (wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne, infrastruktura techniczna, obowiązkowa edukacja podstawowa) mieszczą się w granicach 12–16% PKB. Szacunki innych autorów przynoszą podobne wyniki; są one nieco wyższe dla USA (ok. 20% PKB), z racji ich roli jako głównego dostawcy bezpieczeństwa zewnętrznego dla całego Zachodu. Poszukuje się też optymalnego udziału państwa w wytworzonym bogactwie, czyli relacji WP/PKB. Z badań przekrojowych i badań szeregowych czasowych wynika, że gospodarki rosną najszybciej, gdy relacja WP/PKB znajduje się w przedziale 20–30% PKB (patrz liczne prace Tanziego, Schuecknechta i in.).

Abstrahujemy w tych rozważaniach od efektywności wydatkowanego „socjalu”. Niektóre kraje czynią to bardziej, inne mniej, a nawet znacznie mniej efektywnie. Dwaj autorzy z Harvardu policzyli na podstawie statystyk Eurostatu, że np. w Danii udział osób zagrożonych wpadnięciem w biedę tylko na podstawie uzyskiwanych niskich dochodów przed dokonaniem transferów socjalnych wyniósł w 2003 r. 32%, a po dokonaniu transferów ten odsetek spadł do 12%. Odpowiednie dane dla Szwecji wyniosły 29% i 11%. Z drugiej zaś strony odpowiednie dane np.

Tabela 2. Przeciętne udziały wydatków publicznych w PKB (WP/PKB) oraz przeciętne tempo wzrostu PKB per capita w krajach OECD w latach 1960–2000 (w %)

Kraj/grupa krajów	Lata 60.	Lata 70.	Lata 80.	Lata 90.
Relacje WP/PKB				
Belgia	37,8	50,1	58,8	53,9
Francja	38,3	42,1	50,6	53,7
Niemcy	37,0	45,6	47,6	50,5
Włochy	32,8	41,3	50,3	54,4
Luksemburg	33,7	45,6	54,0	„„
Holandia	39,2	41,3	61,0	57,1
Austria	38,5	45,4	50,5	53,3
Wielka Brytania	36,4	42,9	44,6	44,5
Hiszpania	20,6	26,4	40,1	46,1
Szwecja	37,7	52,4	62,8	62,8
USA	28,9	31,9	35,7	35,7
OECD (średnia)	29,4	37,5	44,5	46,3
Tempo wzrostu PKB per capita				
Belgia	4,4	2,2	1,3	1,5
Francja	4,7	2,2	1,2	1,0
Niemcy	4,2	2,5	0,8	1,7
Włochy	5,6	3,3	1,4	1,1
Luksemburg	3,0	1,1	2,9	1,8
Holandia	4,0	1,4	0,7	1,2
Austria	5,2	2,7	1,3	0,7
Wielka Brytania	2,3	1,4	2,3	1,4
Hiszpania	7,0	2,6	2,1	1,8
Szwecja	2,9	0,7	1,3	2,4
USA	2,2	0,4	1,5	1,2
OECD (średnia)	4,0	2,0	1,7	1,5

Źródło: Heitger (2001).

dla Włoch i Hiszpanii wyniosły odpowiednio: 22% i 19%, 22% i 19%, a dla Grecji nawet 24% i 21% (za: Alesina, Giavazzi, 2006).

Z punktu widzenia zdolności gospodarki do wygenerowania wzrostu gospodarczego, pozwalającego utrzymywać i zwiększać strumień „socjalu”, powyższe dane o efektywności wydatków państwa opiekuńczego nie mają znaczenia. Nawet jeśli są wydawane, jak we wzmiankowanych krajach skandynawskich, najbardziej efektywnie, to i tak może się okazać, że w którymś momencie szkatuła pokaże dno. To znaczy, że spowalniająca gospodarka nie jest już w stanie finansować „socjalu”, nawet najefektywniej wydawanego, w dotychczasowej skali. Załamanie gospodarcze Szwecji w pierwszej połowie lat 90. XX w.

i kolejne cięcia poziomu wydatków publicznych są tego najlepszym dowodem (Winiacki, 2012).

Dane przytoczone za Alesiną i Giavazzim (2006) zwracają jednakże uwagę Czytelników na fakt, że gdy piszemy o nieuchronnym w perspektywie 5–10 lat zredukowaniu państwa opiekuńczego, nie oznacza to automatycznego i proporcjonalnego pogorszenia sytuacji najgorzej sytuowanych grup. Dostosowania powinny w pierwszej kolejności usuwać niesłychanie kosztowne i demoralizujące aberracje systemu. Ponadto powinny one zmniejszać negatywny wpływ „socjału” na wzrost gospodarczy i wzrost zatrudnienia. Zmiany systemowe powiązane z cięciami „socjału” zatem powinny np. wzmacniać bodźce do podejmowania pracy przez zwiększenie różnicy między dochodami z pracy, nawet tej niżej płatnej, a dochodami z rozmaitych świadczeń socjalnych, co zrobiono np. w Niemczech za rządów kanclerza Schroedera w połowie ubiegłej dekady.

Badania wpływu wydatków publicznych ogółem w relacji do PKB na tempo wzrostu gospodarczego, a także poszczególnych składników wydatków publicznych, stały się coraz częstsze w ostatnich kilku-kilkunastu latach. I nastąpiło to ze zrozumiałych powodów. Coraz więcej analityków zaczęło bowiem postrzegać problemy krajów „starej” Europy (i szerzej krajów Zachodu) z punktu widzenia dynamiki wzrostu gospodarczego. Ważnym studium w tym zakresie jest praca dwóch ekonomistów z Europejskiego Banku Centralnego, Antonio Afonso i Davide Furceriego (2008). Poszli oni tropem Heitgera i też skalkulowali efekty wzrostu podatków i wydatków publicznych dla tempa wzrostu gospodarczego. Otóż, na tym samym poziomie ogólności, wzrost wydatków publicznych wywołuje spadek rocznego tempa wzrostu PKB, który według nich jest dwa razy większy niż wynikający z badań Heitgera. Według Afonso i Furceriego wynosi on nie 0,5% rocznie w następnej dekadzie po dekadzie wyższego udziału wydatków publicznych, lecz 1,2–1,3% rocznie. Badania tych dwóch autorów są jednak dla nieco innego okresu: nie dla lat 1960–2000, lecz 1970–2004, co może wpływać na wyniki badań.

Na te wyniki wpływać może jednak wyższy stopień szczegółowości analizy. Afonso i Furceri (2008) zdezagregowali bowiem wpływ podatków i wydatków, a w konsekwencji zidentyfikowali te rodzaje podatków czy wydatków, które są szczególnie szkodliwe dla wzrostu gospodarczego. Współczynniki elastyczności wzrostu gospodarczego w stosunku do wzrostu poszczególnych kategorii wydatków i podatków przedstawiono w tabeli 3.

Również szwedzcy ekonomiści Andreas Bergh i Magnus Henrekson wskazują w swoich badaniach na negatywny wpływ zarówno podatków, jak i wydatków publicznych, które obniżają tempo wzrostu PKB w granicach 0,9–1,1% rocznie (Bergh, Henrekson, 2010a). W szerszym zakresie podejmują oni tę tematykę w wydanej w tym samym roku książce *Government Size and Implications for Economic Growth* (Bergh, Henrekson, 2010b). Przedstawiają w niej dalsze źródła empiryczne wspierające omawianą tutaj tezę. Konkludują, że w odniesieniu do krajów bogatych, istnieją dowody empiryczne wspierające tezę o „znaczącej negatywnej korelacji między ogólnym wzrostem wielkości rządu (tzn. wysokością podatków i wydatków publicznych – J.W.) a wzrostem gospodarczym. Przy tym związki przyczynowo-skutkowe biegną

**Tabela 3. Elastyczność wzrostu gospodarczego
względem zmian udziału wydatków publicznych w PKB
w krajach OECD i Unii Europejskiej w latach 1970–2004**

Kategoria wydatków lub podatków	Kraje OECD łącznie	Kraje UE łącznie
Udział podatków pośrednich	–0,35	–0,40
Udział składek celowych (np. ubezpieczeń społecznych)	–0,34	–0,38
Udział subsydiów	–0,44	–0,71
Udział konsumpcji władz publicznych	–0,31	–0,31
<u>memorandum:</u>		
Zmienność poziomu wydatków władz publicznych	–0,41	–0,46

Źródło: Afonso, Furceri (2008).

od rosnących i wysokich podatków oraz wydatków publicznych do coraz niższego tempa wzrostu gospodarczego” ((Bergh, Henrekson, 2010b).

2.2. BEZ SZANS NA „UCIECZKĘ Z ZADŁUŻENIA” VIA PRZYSPIESZENIE WZROSTU GOSPODARCZEGO?

Zweryfikowane empirycznie zależności, przedstawione punkcie 2.1, mają ważne – choć ciągle słabo (o ile w ogóle) dostrzegane – implikacje. Otóż z dekady na dekadę w Europie i w świecie zachodnim słabnie tempo wzrostu gospodarczego. Tymczasem, z nielicznymi wyjątkami, wydatki publiczne nie maleją, lecz rosną. Jeśli zaś związki przyczynowo-skutkowe biegną od podatków i wydatków publicznych do wzrostu gospodarczego, to trzeba liczyć się z konsekwencjami wzrostu wydatków publicznych, czyli z tym, że należy oczekiwać niskiego – a może coraz niższego – tempa wzrostu PKB także i w przyszłości.

Badania empiryczne przytoczone powyżej ustalają tylko pewne statystyczne zależności. Autorzy prezentowanego tekstu postawili już wcześniej hipotezę, że relacja WP/PKB mierzy nie tylko udział wydatków publicznych. Pokazuje ona także coś jeszcze, mianowicie bodźce, jakie mają ci, którzy swoją pracą tworzą PKB, do tego, by chcieć go tworzyć. Bowiem im większy jest udział wydatków publicznych, tym mniejszy jest udział w PKB tych, którzy ten produkt wytworzyli. To im zabiera się 30%, 40%, 50% i więcej ich dochodów (w Szwecji na przełomie lat 80. i 90. XX w. zabierano nawet 70%!), redukując w ten sposób bodźce do pracy, zarabiania, oszczędzania i inwestowania.

Wśród ekonomistów toczy się dyskusja na temat skuteczności keynesowskiej stymulacji popytu. Mamy w niej wiele niuansów, ale dwa najbardziej radykalne, przeciwstawne sobie stanowiska prezentują z jednej strony noblista Paul Krugman, z drugiej zaś Robert Barro.

Prof. Krugman twierdzi, idąc starym Keynesowskim tropem, że skoro gospodarstwa domowe zmniejszają poziom zadłużenia, a to samo robią firmy, to państwo powinno wkroczyć z tworzeniem dodatkowego popytu. Tenże dodatkowy popyt, zgodnie z doktryną Keynesowskiego mnożnika powinien przynieść efekty większe niż ilość pieniędzy wpompowana przez państwo w gospodarke. Za otrzymane pieniądze gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa dokonają bowiem zakupów, a ci, którzy te pieniądze dostaną, zrealizują kolejne zakupy itd. Tak teoria (bo z empirią jest znacznie słabiej) tłumaczy wielkość mnożnika powyżej jedności. Z każdego wpompowanego w gospodarke dolara, euro czy franka łączne wydatki będą większe od jedności. Gospodarka się rozkręci i zacznie szybciej rosnąć. Na pytanie dlaczego, skoro w gospodarke amerykańską wpompowano „stymulus” rzędu 10% PKB, rośnie ona trzy razy wolniej niż po poprzednich recesjach, prof. P. Krugman odpowiada, że... wpompowano za mało pieniędzy.

Na drugim biegunie sporu o keynesowską stymulację stoi prof. R. Barro. Sam zbadał empirycznie reakcje gospodarki amerykańskiej w ciągu kilkudziesięciu lat i stwierdził, że w żadnym okresie mnożnik nie był większy od jedności, a w czasach pokoju wskaźnik ten z reguły był dramatycznie niski (0,2–0,3). I zwraca uwagę, że gdyby był większy od jedności, to byłoby coś więcej nawet niż słynny lunch za darmo z porzekadła Milтона Friedmana. R. Barro krytykuje politykę „stymulusową” obecnej administracji amerykańskiej i stwierdza, że wielkie nakłady przynoszą wyjątkowo niewielkie efekty w kategoriach tempa wzrostu PKB.

W dyskusji bierze udział wielu ekonomistów, prezentując poglądy bliższe jednemu lub drugiemu z adwersarzy. Jednakże z perspektywy przedstawionej powyżej dyskusja Krugman–Barro nie ma – jak się wydaje – większego znaczenia dla prowadzenia polityki makroekonomicznej (bardziej precyzyjnie: stymulacji fiskalnej). Obojętnie czy jest się optymistą co do siły fiskalnego oddziaływania (*à la* Krugman), czy pesymistą (*à la* Barro), ograniczenia skuteczności stymulowania wzrostu gospodarczego polityką fiskalną biorą się ze słabnących bodźców do pracy, zarabiania, oszczędzania i inwestowania.

Stymulacja fiskalna, niezależnie od jej skali, niewiele zmieni w sensie jej wpływu na przyspieszenie gospodarki. Ponieważ wydatki publiczne rosły w minionych kilku-kilkunastu latach, osłabiając bodźce dla pracodawców i pracobiorców, więc ani jedni, ani drudzy nie zareagują silnie na dodatkowy popyt. Część dodatkowo zarobionych pieniędzy przeznaczą na spłatę długów, aby lepiej przygotować się do nadchodzących – trudnych i niepewnych – lat. Lat, w których dla zamknięcia lub przynajmniej zmniejszenia istniejącego deficytu budżetowego, państwo niewątpliwie nałoży nowe lub wyższe dotychczasowe podatki (założenie tzw. ekwiwalencji ricardiańskiej).

W świecie osłabionych bodźców ekonomicznych i wynikającego stąd zwolnionego tempa wzrostu nie ma szans na „ucieczkę z zadłużenia”, czyli na zmniejszenie długu publicznego za pomocą ekspansji makroekonomicznej. W przeszłości różnym krajom udawało się zmniejszyć, czasem bardzo znacznie, dług publiczny

(absolutnie i w relacji do PKB) właśnie dlatego, że szybki wzrost gospodarczy pozwalał na obniżenie zadłużenia. Obecnie wydaje się to niemożliwe dla większości krajów europejskich. Wzrost gospodarczy będzie jeszcze wolniejszy niż w nieodległej przeszłości, a jakkolwiek stymulacja w większej skali, przy wolniejszym tempie wzrostu PKB, oznaczać będzie wzrost, a nie spadek poziomu zadłużenia – ze wszystkimi dobrze już znanymi problemami z finansowaniem rosnącego deficytu.

W tych warunkach istnieje tylko jedna droga przyspieszenia wzrostu gospodarczego, mianowicie przez uprzednie zmniejszenie wydatków publicznych. Zmniejszenie tych wydatków i w efekcie powstanie przestrzeni dla cięcia podatków, a następnie utrzymanie tych niższych podatków powinno przekonać pracodawców i pracobiorców, że warto się starać. Wtedy wzrost wydajności, produkcji, dochodów i – wreszcie – wydatków spowoduje owo przyspieszenie wzrostu. Tak rozumie się tzw. niekeynesowskie efekty zmniejszania wydatków publicznych. Wtedy, to znaczy kiedy? – mogą spytać co niecierpliwi Czytelnicy. Ile czasu musi upłynąć od obniżki wydatków i potem podatków, aby wzrost gospodarczy wreszcie przyspieszył? Odpowiedź jest dwupoziomowa. Na poziomie ogólnym, filozoficznym, warto niecierpliwym – zwłaszcza politykom – uświadomić, że proces psucia bodźców ekonomicznych (mierzonych relacją WP/PKB) trwał ponad pół wieku i w wielu krajach europejskich trwa nadal. Jakkolwiek zmiana trendu w tym względzie musi więc być:

- znaczna (w sensie skali) cięć wydatków publicznych);
- zauważalna wyraźnie przez podatników (pracodawców i pracobiorców);
- uznana za trwałe odwrócenie trendu, a nie za jednorazową operację, wymuszoną okolicznościami.

Dopiero wtedy można oczekiwać rzeczywistej zmiany zachowań – i w efekcie przyspieszenia wzrostu gospodarczego.

Na poziomie szczegółowym, *par excellence* ekonomicznym, odpowiedź musi nawiązywać do znanego ekonomistom artykułu Finna Kydlanda i Edwarda Prescottta z 1977 roku. Obaj autorzy, którzy dostali Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii, piszą w nim m.in., że skuteczność polityki reform zależy w znacznej mierze od wiarygodności tych, którzy tę politykę zapowiadają, czy nawet wprowadzają. Jeśli bowiem zapowiadali czy wprowadzali takie reformy już wcześniej, a następnie – pod wpływem oportunistycznych kalkulacji – od tej polityki odeszli (a co gorsze, uczynili to nie raz!), to ich kolejna zapowiedź wprowadzenia podobnych reform zostanie przyjęta jako niewiarygodna. Uczestnicy gry ekonomicznej, a w każdym razie ich większość, uznają, że politycy ci i tym razem – gdy im się to politycznie opłaci – odstąpią od rozpoczętych reform.

W rezultacie z powodów reputacyjnych reformy czy zmiany polityki najprawdopodobniej się nie powiodą. Uczestnicy życia gospodarczego zachowywać się będą bowiem tak, jak gdyby miała nastąpić zmiana zapowiadanych reguł gry (czyli powrót do poprzednich nieefektywnych reguł) lub zmiana zapowiadanej

polityki (czyli powrót do poprzedniej polityki). I nie będzie to mieć żadnego znaczenia, że akurat tym razem politycy są „pod ścianą” i naprawdę chcą dokonać zapowiadanych zmian. Ze względu na ich niewiarygodność (ciężar przeszłości!) nie są w stanie zakomunikować wiarygodnie uczestnikom życia gospodarczego, że tym razem zachowają się inaczej.

Z tego wywodu wynika wyraźnie, że im bardziej wiarygodny jest dany rząd, tym krótszy okres może upłynąć od rozpoczęcia cięć wydatków publicznych do pro wzrostowych zachowań pracodawców i pracobiorców, które doprowadzą do przyspieszenia wzrostu gospodarczego. I tym szybciej pojawią się niekeynesowskie efekty cięć wydatków.

Tymczasem realia, jeśli idzie o reputację polityków, są mało optymistyczne. Niewiele widać krajów strefy euro, w których – nieuchronna zdaniem autorów raportu – zmiana trendu w odniesieniu do wydatków publicznych zostanie odebrana jako wiarygodna przez uczestników życia gospodarczego. A to oznacza tylko jedno: nawet znaczne i odebrane jako takie (czyli zauważalne) zmiany w większości krajów nieprędko zostaną uznane za trwałe i spowodują odpowiednie zachowania dostosowawcze uczestników życia gospodarczego.

Wreszcie należy też mieć świadomość politycznego klimatu w świecie zachodnim – syndromu odrzucenia rzeczywistości i przez elity, i przez społeczeństwa. Droga powrotna z krainy, scharakteryzowanej przez Ludwiga Erharda jako kraina, w której żyje się z ręką w kieszeni sąsiada, nie będzie ani prosta, ani krótka.

2.3: DEMOKRACJA, „TANI KEYNESIZM” I TRUDNOŚCI PROWADZENIA RACJONALNEJ POLITYKI MAKROEKONOMICZNEJ

W latach 70. XX w. pojawiła się teoriopolityczna koncepcja makroekonomiczna, której nadano nazwę politycznego cyklu koniunkturalnego. Wywodziła się ona z uogólnionych obserwacji zachowań polityków gospodarczych w odniesieniu do interakcji: cykl wyborczy–cykl koniunkturalny. Niektórzy badacze koniunktury zauważyli bowiem często powtarzające się prawidłowości. Jeśli np. za rok miały się odbyć wybory w jakimś demokratycznym, zachodnim kraju, rząd tego kraju decydował się „podkreścić” koniunkturę przed wyborami. Wiedząc, że efekty wzrostu produkcji pojawiają się wcześniej, mniej więcej 6–9 miesięcy po zwiększeniu wydatków publicznych i/lub wzroście podaży pieniądza, czyli przed wyborami, natomiast inflacja najwcześniej 12–18 miesięcy od stymulacji makroekonomicznej, czyli już po wyborach, decydowali się oni na taką operację.

Było to korzystne dla rządzących. Efekty produkcyjne (wyższy wzrost PKB i zatrudnienia, wzrost płac) pojawiały się bowiem przed wyborami, poprawiając nastroje społeczne i zwiększając szanse sukcesu rządzących. Natomiast nieprzewidywalne konsekwencje w postaci wzrostu inflacji, a następnie restrykcji makroekonomicznych powstrzymujących wzrost inflacji miał miejsce już po (wygranych przez rządzących) wyborach.

W ten sposób polityka gospodarcza zaczęła regularnie ingerować w przebieg cyklu koniunkturalnego, przedłużając fazę ekspansji lub powiększając jej skalę w pożądanym przez rządzących okresie. Za te wyborcze korzyści politycznego cyklu koniunkturalnego trzeba było, rzecz jasna, zapłacić proporcjonalnie dłuższym okresem spowolnienia czy recesji, ale dla rządzących było to korzystne. Gospodarczych korzyści netto takich interwencji nie było żadnych.

Jeden z autorów artykułu prof. K. Tarchalski poszedł krok dalej w analizie polityki makroekonomicznej w demokratycznych krajach. Używa on w odniesieniu do tejsze polityki terminu: „tani keynesizm” (Tarchalski, 2009). Tani keynesizm to, według niego, stosowanie stymulacji fiskalnej nie tylko przed wyborami, jak w koncepcji politycznego cyklu koniunkturalnego, ale przez cały czas, nawet w okresie wysokiej koniunktury, czyli – tym samym – stosowanie koncepcji niemal permanentnych deficytów budżetowych.

Tani keynesizm idzie bowiem jeszcze dalej. Polityczni oportuniści rozumują następująco. Nie opłaca się tworzyć przestrzeni fiskalnej dla ewentualnych interwencji w latach recesji, czyli tworzyć nadwyżki budżetowe w latach ekspansji. Równowaga budżetowa, czy wręcz nadwyżka dochodów nad wydatkami, to woda na młyn opozycji. Wskazywać ona będzie (też oportunistycznie), że rządzący mają możliwości poprawy sytuacji w różnych obszarach gospodarki, ale nie czynią tego, tworząc „niepotrzebne” nadwyżki. Dlatego idąc za głosem interesu własnego – ale nie publicznego – politycy są skłonni likwidować owe nadwyżki, włączając do budżetu rozmaite programy wydatków. Rządzącym jest łatwiej wygrać wybory, chociaż gospodarka będzie się borykać z konsekwencjami niemal permanentnych deficytów budżetowych: mniejszych w dobrych latach ekspansji i większych w złych latach recesji.

Świadomość szerokiego otwarcia przez „twórczych interpretatorów” Keynesa bram do fiskalizmu, zadłużenia i przyszłych kłopotów istniała wśród części makroekonomistów już od dawna. Dwaj autorzy podręcznika *Economics* (Wonnacott, Wonnacott, 1979) tak pisali w 1979 r., obawiając się skutków fiskalnej rozrzutności:

- Szeroka akceptacja przekazu Keynesa pozostawiła dwa dręczące (ekonomistów) zmartwienia:
 - jeśli rząd zwiększa deficyt do rozmiarów niezbędnych do przywrócenia pełnego zatrudnienia, to czy w przyszłości nie skończy się to ciężarem długu publicznego nie do udźwignięcia?
 - jeśli nie czyni się rządu odpowiedzialnym za zrównoważenie budżetu, to jak można oczekiwać, że wykaże się on umiarem w decyzjach dotyczących wydatków publicznych i podatków?
- Wreszcie, czy nie stworzy to „blankietowego” upoważnienia dla wszelkich działań uzasadnianych „potrzebami gospodarki”?

Niestety tak właśnie rozwinęła się sytuacja i dzisiaj przygotowuje się w Komisji Europejskiej dla krajów strefy euro program obniżenia poziomu długu publicznego mniej więcej o połowę, czyli do poziomu 50% PKB. Na zejście do tego (skądinąd raczej wysokiego) poziomu zadłużenia kraje europejskie będą musiały poczekać bardzo długo.

3. PANORAMA SZKÓD MORALNYCH, PSYCHICZNYCH I PRAWNYCH ORAZ ICH NASTĘPSTW DLA ROZWOJU GOSPODARCZEGO

3.1. DLACZEGO „OBURZENI” SĄ OBURZENI, CZYLI O „SOCJALU” WCZORAJ, DZIŚ I (W OBECNYM WYMIARZE) NIEKONIECZNIE JUTRO...

Jeśli spojrzeć, jak jest postrzegany obecny kryzys przez większość omawianych społeczeństw, to najbardziej popularne jest przekonanie, że to współcześni szekspirowscy Shylockowie, chciwi bankierzy, spowodowali kryzys finansowy, którego konsekwencją stała się recesja. Według tej folklorystycznej legendy, to właśnie z powodu ratowania gospodarek (w tym owych chciwych bankierów) przed katastrofą, troskliwe rządy krajów zachodnich musiały tak bardzo się zadłużać. Jest to niewątpliwym sukces polityków, którym udało się „sprzedać” taką wersję swoim społeczeństwom, zrzucając tym samym z siebie odpowiedzialność za lata czy dziesięciolecia błędnej polityki.

Tymczasem przyczyny kryzysu i zadłużenia są zupełnie inne. Przyspieszone zadłużanie zaczęło się już na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, kryzys zaś przyspieszył jedynie ten proces, którego geneza bierze się z przytłaczającej budżety krajów zachodnioeuropejskich stale rosnącej góry socjalnych zobowiązań. Kryzys strefy euro jest jedynie czynnikiem wzmacniającym perturbacje ekonomiczno-finansowe, które wystąpiłyby tak czy inaczej. Nie ulega wątpliwości, że państwo opiekuńcze będzie musiało zostać przykrojone do rozmiarów odpowiadających możliwościom coraz wolniej rozwijających się gospodarek.

Takiej świadomości nie mają jednak w przytłaczającej większości społeczeństwa zachodnioeuropejskie. A przecież odrobina wiedzy historycznej i ekonomicznej powinna zmusić – przynajmniej niektórych – do refleksji. Kapitalizm kupiecki zakorzenił się w Europie Zachodniej już ok. 1000 lat temu, kapitalizm przemysłowy zaś – już ok. 300 lat temu. W kapitalistycznej gospodarce rynkowej podstawowym motywem do działania jest oświecony interes własny (jak ktoś chce tendencyjnie nazywać go chciwością, to trudno). Już w połowie XVIII w. Monteskiusz stwierdził, iż w naukach społecznych ów interes własny jest odpowiednikiem siły grawitacji w naukach matematyczno-przyrodniczych. Czyli interes własny, egoizm, chciwość – niech każdy nazwie tę cechę, jak chce – stanowi *constans*, element stały.

Najwyraźniej więc skoro chciwość istnieje, jak istniała, to inne muszą być determinanty tego, co zdarzyło się w minionych kilku, kilkunastu czy kilkudziesięciu latach. A tym czymś innym jest rosnący ciężar „socjalu”, którego nie są już w stanie unieść w obecnym wymiarze gospodarki krajów będących przedmiotem analizy w artykule. Niestety, ponieważ ten „socjal” płynął coraz szerszym strumieniem przez lat kilkadziesiąt, społeczeństwa są odurzone. Odurzone oczywistością rosnącego od dawna strumienia manny spadającej z nieba i odurzone, zaszokowane tym, że ten strumień ostatnio jakby przestał rosnąć, a nawet –

o zgrozo! – ilość manny zaczęła się kurczyć. Właściwym terminem dla demonstrujących w różnych miastach Europy w ostatnich latach byłby więc termin „odurzeni”, nie zaś, jak sami siebie nazywają, „oburzeni”.

Europejska moda na oburzanie się zaczęła się mniej więcej dwa–trzy lata temu. Zaczęło się od Hiszpanii, gdzie w różnych miastach oburzało się równoległe nawet kilkadziesiąt tysięcy osób. Od nich nauczyli się oburzać Grecy, którzy latami „udawali Greka”, dojąc Unię Europejską (czyli jej podatników z zamożniejszych krajów). Przecież już u progu lat 90. Grecja, zarzucona unijną „darmochą”, którą wydawała na konsumpcję indywidualną i na „socjal”, osiągnęła absolutny rekord deficytu budżetowego w historii UE: prawie 17% PKB! Więcej nawet niż obecnie. Po Grecji moda na oburzanie rozlała się po całej Zachodniej Europie.

Przeciwko czemu protestują owi „oburzeni” w różnych krajach Unii? Stwierdziliśmy już, że ni mniej, ni więcej protestują oni przeciwko temu, że kurczy się państwo opiekuńcze. Nikt z tych młodych na ogół ludzi nie pyta się, kto te pieniądze „wypracował” w przeszłości i dlaczego te pieniądze w majestacie prawa odbierano im w postaci coraz wyższych podatków.

U większości obywateli zachodnich społeczeństw ugruntowały się tak silnie postawy, które za prof. Józefem Kozińskim należałoby nazwać żebraczo-rozszczeniowymi, że do niewielu dochodzi przesłanie, iż „manna”, czyli coś za nic (bo taki jest sens państwa opiekuńczego) musi kiedyś przestać spadać z nieba. W ćwierć wieku po upadku despotycznego państwa opiekuńczego komunizmu, najwyraźniej osiągnięte zostały granice możliwości demokratycznego państwa opiekuńczego.

Demoralizacja czy postawy żebraczo-rozszczeniowe nie są tylko cechą charakterystyczną młodzieży, traktującej ten „socjal” jako oczywistość, z którą stykają się od najmłodszych lat. Obejmuje ona wszystkie kategorie wiekowe³. Klimat społeczny i – dodajmy – także ideologiczny od dawna sprzyja w większości krajów europejskich takiej żebraczo-rozszczeniowej mentalności. Ideologiczne wojny przeciwko wielkim korporacjom prowadzone przez nawiedzone lewactwo plenią się od dawna. Kultura europejska (i w znacznej części amerykańska) nasycone są treściami antykapitalistycznymi. Krytyka konkurencji, czyli, jak to określają pogardliwie niewiele myślące pięknoduchy, „wyścigu szczurów”, stwarza wrażenie, że praca to paskudztwo, pracownik jest wykorzystywany i w ogóle człowiek powinien realizować się w życiu kulturalnym i towarzyskim.

Praca to nie tylko wyzysk, ale i udręka, bo w dodatku w pracy nabywa się nerwic i depresji – czym ochoczo straszą tych, którzy chcieliby pracę potraktować poważnie, różne lewicujące, politycznie poprawne media (także i w Polsce!). Aż dziw, że jeszcze jest tylu ludzi – mężczyzn i kobiet – którzy z zapałem tworzą bogactwo. I dzielą się nim – z podatkowej konieczności – nie tylko z tymi, których choroby i inne ułomności pozbawiły możliwości tworzenia bogactwa, ale także z tymi, którzy uważają, że „należy się” im owo bogactwo, nawet jeśli nic nie wnieśli do procesu tworzenia wspólnego bochenka.

³ Ktoś w końcu odbierał latami emerytury za greckich stulatków, zmarłych często wiele lat wcześniej. Ale czy był to szwindel wyjątkowy?

Na zakończenie zagadka. Który kraj ma większe szanse na przełamanie procesu degrengolady moralnej i w efekcie ekonomicznej? Kraj, w którym – jak w Hiszpanii – demonstruje się przeciwko temu, że owa manna z nieba sypie się coraz mniejszym strumieniem? Czy też kraj, w którym demonstrują ludzie oburzeni, że państwo zadłuża się nieodpowiedzialnie, a oni i ich potomkowie będą spłacać w przyszłości zaciągane długi? Ten drugi kraj, to Stany Zjednoczone.

Amerykanów słusznie postrzega się jako nację, dla której etyczne podstawy działań mają istotne znaczenie. I słusznie podkreślał to amerykański komentator Michael Barone (w „Financial Times” z 3.06.2011), że ruch *Tea Party* jest wprawdzie ruchem o podłożu ekonomicznym, lecz opartym na fundamentach etycznych. Jego uczestnicy są oburzeni tym, że finansuje się nieostrożnych, ryzykantów i nierzadko kombinatorów kosztem przezornych, podejmujących racjonalne decyzje i uczciwych. I ta krytyczna ocena dotyczy zarówno drobnych cwaniaczków zaciągających kredyty hipoteczne bez żadnych podstaw materialnych, liczących na to, że ceny nieruchomości dalej będą iść w górę i oni na tym zarobią, jak i bankowców liczących na to, że państwo, prowadząc ryzykancką politykę makroekonomiczną podkręcania koniunktury, w razie czego wybawi ich z konsekwencji wcześniejszych ryzykownych transakcji.

Różnice między ruchem *Tea Party* a manifestacjami w Europie nie mogłyby być większe. Otóż „oburzeni” w Hiszpanii, Grecji, Francji i gdzie indziej są reprezentantami myślenia w kategoriach żebraczo-roszczeniowych. Domagają się oni więcej „socjału” i nie myślą o tym, że domagając się więcej i więcej świadczeń nie konfrontują swoich roszczeń z własnym wkładem w wytwarzany bochenek zwany PKB. Tymczasem aktywiści i zwykli uczestnicy demonstracji *Tea Party* są oburzeni tym, że państwo wspiera utracjuszy pieniędzmi oszczędnych i protestują przeciwko zadłużaniu państwa, gdyż rozumieją, że to oni i ich dzieci spłacać będą te długi. I nie są to nieczuli bogacze, bo wśród zwolenników tego ruchu dominują, jak to się tam mówi, przeciętni Amerykanie z Main Street, czyli pracujący w sektorze prywatnym w różnych rolach: od robotników fizycznych do przedsiębiorców, a także niepracujące zawodowo panie domu.

Niezależnie od symplicystycznych niekiedy oczekiwań, niecierpliwości i irytacji tych ludzi, którzy są przekonani – i słusznie, naszym zdaniem! – że racja jest bezapelacyjnie po ich stronie, są oni najważniejszym bodaj czynnikiem, który pozwala mieć nadzieję na sukces Ameryki. Sukces ten rozumiemy jako szansę na odnowę instytucjonalną i odwrócenie katastrofalnej polityki⁴, jaką prowadzono od dawna, a którą przyspieszyła jeszcze administracja prezydenta Obamy.

⁴ Nie można niestety oczekiwać tego samego w Hiszpanii, gdzie ten poziom świadomości społeczno-ekonomicznej po prostu nie istnieje. Czytając niedawny wywiad z profesorem E.L. de Espinosa, widać wyraźnie, że – jak go przedstawia redakcja – ów profesor, prezes think-tanku, opowiada, że przez ostatnie 35 lat Hiszpania rosła, bogaciła się, państwo było hojne i dobroczynne, opieka zdrowotna, świadczenia społeczne obejmowały coraz więcej ludzi. Hiszpania była coraz zasobniejsza i coraz bardziej bezpieczna. Europa bardzo w tym pomogła. A potem wszystko się zepsuło. Oczywiście, trzeba by może porównać tę rosnącą zasobność Hiszpanii z coraz bardziej hojnym i dobroczynnym państwem opiekuńczym oraz zobaczyć, czy szkatuła nawet rosnącej gospodarki nie jest już prawie pusta. Ponadto Hiszpanię wprowadziła w kryzys „bańka”

3.2. WYUCZONA BEZRADNOŚĆ CZYLI PAŃSTWO OPIEKUŃCZE NA DOBRE I NA ZŁE

Prasa podała niedawno, pod sensacyjnym tytułem: „Europa na skraj załamania nerwowego”, że kryzys wpłynął także na stan psychiczny Europejczyków. Według European College of Neuropsychofarmacology (ENCP), nastąpił wzrost liczby przypadków zaburzeń różnego rodzaju z 27% do 38% u obywateli Unii Europejskiej. Inna informacja na ten temat dotyczyła Niemiec, gdzie co piąty mieszkaniec cierpi na ten czy inny rodzaj depresji. W dyskusji radiowej redaktor zastanawiał się w tym kontekście, dlaczego np. w Hongkongu czy Singapurze ludzie są nastawieni bardziej optymistycznie i nie zapadają tak często na tego rodzaju choroby. Ów redaktor pozostawił to pytanie bez odpowiedzi; warto jednak rozważyć bardziej wnikliwie tę kwestię, gdyż – zdaniem autora tej części artykułu – w odpowiedzi na to pytanie tkwi klucz do zrozumienia przyczyn ewolucji społeczno-politycznej w Europie. A w efekcie do zrozumienia problemów ekonomicznych, które ta ewolucja stworzyła⁵. W tym punkcie autorzy artykułu chcieliby zwrócić uwagę na całkowicie pomijane w dotychczasowych dyskusjach o kryzysie konsekwencje psychologiczne długotrwałej ekspansji „socjału”. Czyli o konsekwencjach, przed którymi psychologowie przestrzegali od dawna.

Zwróćmy uwagę na artykuł Dawida Magnussona, profesora psychologii Uniwersytetu Sztokholmskiego, pod profetycznym tytułem: *Learned Helplessness: Welfare for Good or Bad* (Magnusson, 1980, s. 67–74). Uważamy tytuł za profetyczny, gdyż artykuł ów został opublikowany ponad 30 lat temu, kiedy kwestionowanie korzyści rosnącego strumienia beneficjów „socjału” było rzadkością, a w Szwecji niemalże świeckim odpowiednikiem grzechu śmiertelnego.

Przez „wyuczoną bezradność”, traktowaną jako psychologiczny problem, Magnusson rozumiał niezdolność jednostki do powiązania własnych wysiłków z obserwowanymi efektami. Wyjaśniał on w artykule, że człowiekowi potrzebna jest świadomość tego, iż może on wpływać na rzeczywistość swoimi działaniami, wspartymi własną wiedzą, pracowitością, przedsiębiorczością, innowacyjnością itd. I że ich efektem są wyższe zarobki, awanse itp. Stanowią one jeden rodzaj

mieszkaniowa. A więc ów prezes think-tanku powinien przyjrzeć się polityce państwa, które systemem bodźców dla budownictwa mieszkaniowego wywołało tę „bańkę”. Rzut oka na statystyki międzynarodowe pozwoliłby zauważyć, że w teście Hiszpanii udział właścicieli w ogólnej liczbie gospodarstw domowych, gdyby udało się sprzedać wszystko, co wybudowano w okresie „bańki” mieszkaniowej, przekroczyłoby 80%. A więc znacznie więcej niż w dużo bogatszych Stanach Zjednoczonych, gdzie właścicielami domów i mieszkań jest niespełna dwie trzecie gospodarstw! Otóż słowa nie ma na ten temat na dwóch stronach gazety, w której opublikowano ów wywiad (*Nie pozwólmy umrzeć Europie!*, „Gazeta Wyborcza” z 4–5.08.2012).

⁵ Wróćmy jeszcze na chwilę do wypowiedzi cytowanego powyżej hiszpańskiego profesora i szefa think-tanku. Wcześniej krytykowaliśmy autora tej wypowiedzi za kompletny brak zrozumienia, że istnieją zależności między poziomem rozwoju i wzrostem zamożności a możliwością państwa opiekuńczego tworzenia i wzrostu strumienia różnego rodzaju beneficjów. Była to krytyka z ekonomicznego punktu widzenia. Przyjęto milczące założenie, że „socjał”, ów niekończący się strumień rozmaitych świadczeń, może być sam w sobie czymś pozytywnym. Tyle, że nie należy przesadzać z jego skalą, bo gospodarka może okazać się niezdolna do uniesienia ciężaru rosnącego „socjału”.

korzyści; drugim rodzajem korzyści jest świadomość, iż to, co osiągnął, osiągnął własnymi staraniami. Taki celowy aktywizm pozwala ponadto ludziom wносить wkład do szerszych społecznych przemian bądź adaptować się do nich, gdy przychodzą z zewnątrz. Widząc związki między staraniami a efektami, ludzie ci postrzegają świat jako przewidywalny i podejmują odpowiednie działania dla osiągnięcia określonych celów.

Otóż prof. Magnusson zadał w tymże artykule pytanie, co może się zdarzyć, jeśli ludzie przestaną postrzegać istnienie związków między ich działaniami a osiąganymi efektami. I spróbował na nie odpowiedzieć. Podkreślał on, że wszelkie ludzkie działania są oparte na założeniu, że istnieje określony związek między działaniami a ich wynikami. Oznacza to, że w określonych sytuacjach ludzie postrzegają, że określone działania prowadzą do określonych rezultatów. Natomiast inne działania prowadzą do (niezamierzonych) negatywnych konsekwencji. Ludzie uczą się, które działania prowadzą do jakich wyników, pozytywnych lub negatywnych. Im bardziej jednoznacznie są postrzegane związki działań i wyników tychże działań, tym wyższy jest poziom psychicznego bezpieczeństwa. Ważne jest też, by ludzie mieli poczucie, że ich celowe działania powodują określone zmiany w ich otoczeniu. Wówczas stwierdzają, że świat jest nie tylko przewidywalny, ale także do pewnego stopnia „kształtowalny”; ich działania wpływają w jakimś stopniu na zmiany w otaczającym ich świecie.

Następnie D. Magnusson zwrócił uwagę na kompletnie pomijane aspekty państwa opiekuńczego. Pisał on to w latach, w których Szwecja była tzw. rajem socjalnym (ponad 2/3 PKB rozdzielane było przez państwo!). Podkreślał więc w artykule, iż rosnące beneficja płyną z zewnątrz, czyli nie zostały wypracowane przez jednostkę. A zatem były zależne od organizacji otaczających jednostkę: partii politycznych, parlamentu, biurokracji itd. Co zostało całkowicie zlekceważone, to właśnie związki między działaniami a wynikami, a w efekcie postrzeganie przez jednostkę, że przez swoje działania zmienia na korzyść sytuację w sprawach dla niej ważnych. A do takich przecież należy jej dobrostan materialny.

Prof. Magnusson opisuje następstwa tego zlekceważenia, powołując się na badania innego psychologa, Martina Seligmana, pierwotnie prowadzone na zwierzętach. Otóż po okresie, w którym związki między działaniami a efektami były zauważalne przez zwierzęta poddane eksperymentowi, wprowadzano do eksperymentu całkowitą przypadkowość tych związków (np. w zamian za określone zachowania zwierzęta oczekiwała kara zamiast nagrody). Efektem takich ponawianych eksperymentów były pasywność, nieskłonność do podejmowania inicjatywy (gdy wynik działań był nieprzewidywalny), a także oznaki emocjonalnych perturbacji (w tym skłonność do agresji i destrukcji).

Teoria „wyuczonej bezradności” Seligmana opisywała konsekwencje sytuacji, w których otaczający świat okazywał się dla zwierząt (a także dla poddanych później eksperymentowi ludzi) nieprzewidywalny i nie stwarzający możliwości wpływania na rozwój sytuacji. D. Magnusson, wspierając się teorią wyuczonej bezradności, zwracał uwagę na fakt, iż rosnące beneficja płynące z zewnątrz – czyli nie zapracowane przez jednostkę – podnosiły wprawdzie jej dobrostan mate-

rialny, ale najwyraźniej musiały obniżyć jej dobrostan psychiczny. To właśnie, jego zdaniem, wywoływało coraz liczniejsze sytuacje określane w teorii mianem „wyuczonej bezradności”. Ludzie zwracali się ku światu zewnętrznemu, w wyniku decyzji którego ich sytuacja materialna ulegała poprawie lub – dodajmy – z upływem lat coraz częściej pogorszeniu, nie wiedząc, dlaczego tak akurat się dzieje, niezależnie od kierunku zmian. Świat stawał się dla nich coraz mniej przewidywalny...

Szwedzki psycholog D. Magnusson wskazuje na pojawianie się „wyuczonej bezradności” nie tylko w wyniku oddziaływania na jednostkę mechanizmu państwa opiekuńczego, ale także w wyniku zakłóconego nadmiarem opiekuńczości procesu wychowawczego. W procesie wychowawczym w dziecku kształtuje się spójny system myślenia, wartości i zachowań. Pewne działania są nagradzane, innym dorośli zapobiegają swoją interwencją, rezultatem jeszcze innych są kary i w efekcie – zmiany zachowań. Wszystko to dokonuje się w procesie interakcji ze środowiskiem, w którym dziecko dorasta. Martin Seligman wzywa do pozostawienia dziecku zakresu swobody w jego działaniach – po to właśnie, by dać mu szanse przezwyciężania trudności i wyciągania wniosków z niepowodzeń. Inaczej pojawią się trudności z rozwinięciem się cech niezależności i poczucia wartości, niezbędnych w skutecznych kontaktach z rzeczywistością.

Martin Seligman przestrzegał: „Poczucie wartości, panowania nad sytuacją (...) nie mogą zostać nadane komukolwiek. Trzeba na nie zapracować. Jeśli są dane z zewnątrz, przestają mieć wartość i przestają kreować szacunek do siebie samego. Jeśli będziemy usuwać przeszkody, trudności, niepokoje i konkurencję z życia naszej młodzieży, możemy nie zobaczyć w przyszłości generacji młodych ludzi, którzy mają poczucie własnej wartości i zdolności zapanowania nad sytuacją ...” (Seligmann, 1975 – cyt. za: Magnusson, 1980).

David Magnusson w cytowanym artykule zadał także następujące pytanie: czy po przejrzeniu prasy z lat 50. XX w. i przedstawianych tam propozycji i programów poprawy bytu materialnego ludności, widząc dzisiejsze skutki, podjęlibyśmy dzisiaj takie same decyzje jak przed 30 laty? To samo pytanie powinno się zadać, z jeszcze większym naciskiem, w 30 lat po artykule prof. Magnussona. Zresztą on sam zakończył swój artykuł ostrzeżeniem. Nasza – napisał – „oczywista troska o słabszych (ekonomicznie – red.) członków społeczeństwa, nie musi – i nie powinna – przybierać formy pozbawiania ludzi (...) ich poczucia odpowiedzialności za warunki własnego życia i w ten sposób odbierać im poczucie własnej wartości, które opiera się na wolności i zdolności podjęcia takiej odpowiedzialności”.

Niemniej jednak decyzje zostały powzięte, programy wszechogarniającego „socjału” wprowadzone w życie oraz rozdęte poza granice możliwości ekonomicznych – i mamy to, co mamy. Spójrzmy więc raz jeszcze na stan umysłów współczesnych społeczeństw świata zachodniego. I tak, mamy znerwicowane społeczeństwa, co nie powinno nas zaskakiwać. Wszystko to, co widzimy, słyszymy i czytamy w tym względzie to są przypadki „wyuczonej bezradności”. Ludzie cierpią na nerwice i depresje, bo nie rozumieją, skąd biorą się ich problemy materialne.

Dlaczego wcześniej zasiłki dla bezrobotnych były wyższe i wypłacane dłużej? Dlaczego właściciel firmy, w której pracuję, napomyka o zamknięciu fabryczki, gdyż nie jest w stanie płacić coraz wyższych podatków, składek na ubezpieczenia społeczne i inne, mimo iż pracuje po 60 godzin tygodniowo? Warto podkreślić, że ów znerwicowany pracownik coś jednak był w stanie zauważyć; większość jego kolegów i koleżanek stwierdziłaby zapewne w pierwszej kolejności, że trzeba podnieść podatki milionerom i innym „bogaczom”, to wówczas dobroczynne państwo z tych zabranych pieniędzy dałoby właścicielowi jakąś dotację. Tak jakby z dotacji mogło powstać trwałe bogactwo...

A owi nieszczęśliwi „oburzeni”? Czyż nie są to kliniczne przypadki „wyuczonyj bezradności”? Przecież oni najwyraźniej nigdy w swoim życiu nie widzieli żadnych związków między ich własnymi działaniami (znacznie częściej własnymi zaniechaniami!) a wielkością strumienia socjalnych świadczeń, płynących do nich od opiekuńczego Behemota. Demonstracje pokazują model zachowań: „wyuczona bezradność” prowadząca do emocjonalnych zaburzeń, gniewu przeciwko światu, którego funkcjonowanie odzwyczaiło ich od postrzegania związków między własnym działaniem a pojawiającym się efektem.

Oczywiście, irytujący jest ekonomiczny analfabetyzm owych znerwicowanych i oburzonych. Dziennikarz londyńskiego „The Economist”, który spędził wiele czasu na rozmowach z hiszpańskimi oburzonymi, stwierdził, że spoiwem nie jest jakakolwiek ekonomiczna wizja lepszego świata, ale zestaw skarg, które syntetycznie przedstawił powyżej. Pojawiają się jakieś krytyczne oceny tego czy owego zjawiska, ale bez jakiegokolwiek zdolności postrzegania związków między tymi zjawiskami (*Europe's most earnest protesters*, „The Economist” z 16.07.2011). Zaskoczyło go np., że „oburzeni” oburzają się na paragraf w Traktacie Lizbońskim, który zakazuje bankom centralnym kupowania obligacji rządowych i innych form udzielania rządowi taniego kredytu. Czyli zakazuje drukowania pieniędzy. Warto byłoby zwrócić uwagę takim „oburzonym”, że gdyby to było drogą do zamożności, to najbogatszym krajem byłoby zapewne Zimbabwe, gdzie wydrukowano już banknot stubilionowy (jedynka i czternaście zer!), a na targ po warzywa chodziło się z naręczem banknotów do chwili, w której nikt już nie chciał przyjmować żadnych zimbabweńskich, czyli państwowych, pieniędzy i cały system się załamał. Dziś mieszkańcy tego straszliwie zabiedzonego kraju używają różnych pieniędzy zagranicznych (funtów, dolarów, franków szwajcarskich itd.)

Ekonomia jest jednak nauką antyintuicyjną. I zanim zaczniemy oczekiwać od społeczeństw pewnego niezbędnego minimum wiedzy ekonomicznej, oczekujemy wprawdzie, iż jednostki w społeczeństwie będą w stanie dostrzegać w ogóle związki między działaniami a wynikami tych działań. Ekonomia jest wtórna wobec tak podstawowej wiedzy społecznej, której – w wyniku „wyuczonyj bezradności” – w rosnącej mierze brakuje w zachodnich społeczeństwach.

Należy też zastanowić się, jakie konsekwencje natury moralnej mają działania państw opiekuńczych, wywołujące tego rodzaju konsekwencje – mamy tu na myśli „wyuczoną bezradność” na masową skalę. Kontynuując temat moralności: czy ludzie którzy uważają, że im się ów „socjal” należy z samego faktu ich istnienia

w danej społeczności, niezależnie od tego, co wnieśli do wspólnego bogactwa, są ludźmi niemoralnymi, czy raczej amoralnymi? Czy państwo opiekuńcze czyni z nich ludzi niemoralnych, gdyż sięgają po cudze, nie mając ku temu podstawy w postaci własnego wkładu w wytworzony bochenek? Czy też raczej w wyniku „wyuczoney bezradności”, nie widząc związków między swoimi działaniami a wynikami w postaci poprawy ich materialnego bytu, są „tylko” ludźmi amoralnymi? Czyli po prostu nie posiadającymi moralnego kompasu.

BIBLIOGRAFIA

- Afonso A., Fuceri D. (2008), *Government Size, Composition, Volatility and Economic Growth*, European Central Bank, Working Paper Series, No. 849, January.
- Alesina A., Ardagna S. (2010), *Large changes in fiscal policy: taxes versus spending*, “Tax Policy and the Economy”, Vol. 24, The University of Chicago Press.
- Alesina A., Giavazzi F. (2006), *The Future of Europe. Reform or Decline*, The MIT Press, Cambridge, Mass.
- Barro R. (2002), *Nothing Is Sacred*, The MIT Press, Cambridge, Mass.
- Bergh A., Henrekson M. (2010a), *Government size and growth: Accounting for economic freedom and globalisation*, “Public Choice”, No. 142 (1–2).
- Bergh A., Henrekson M. (2010b), *Government Size and Implications for Economic Growth*, American Economic Institute, Washington D.C.
- Deutsch K. (1966), *The Nerves of Government*, Free Press, New York.
- Economic Statistics, 1900–1983* (1985), “The Economist”, London.
- Heitger B. (2001), *The scope of government and its impact on economic growth in OECD countries*, “Kiel Institute for World Economics Working Paper”, No. 1034, Institute of World Economics, Kiel.
- Joffe J. (2012), *I come to praise Ms Merkel not to bury her*, “Financial Times”, June 19.
- Kydland F., Prescott E. (1977), *Rules rather than discretion: The inconsistency of optimal plans*, “Journal of Political Economy”, June.
- Lawson N. (2010), *An Appeal to Reason*, Foundation for Climate Education, London.
- Magnusson D. (1980), *Learned helplessness: Welfare for good and bad*, “Skandinaviska Banken Quarterly Review”, Vol. 9, s. 67–74.
- Rachman G. (2012), *We isolate and overload Germany at our peril*, “Financial Times”, June 11.
- Seligman M.E.P. (1975), *Helplessness, On Depression, Development and Death*, Freeman, San Francisco.
- Tarchalski K. (2009), *Fiskalizm w dobrych latach czy ekspansja gospodarcza...*, Scholar, Warszawa.
- The Scope of Government and Its Impact on Economic Growth In OECD Countries* (2001), Kiel Institute for World Economics Working Paper, No. 1034.
- Winiecki J. (2012a), *Ewolucja szwedzkiego modelu gospodarki*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny”, Rok LXXIV, Zeszyt 4.
- Winiecki J. (2012b), *Niemcy, czyli niechętnie przywództwo Europy*, portal *Money.pl*, dział: publicystyka, kwiecień.
- Wonnacot P., Wonnacot R. (1979), *Economics*, McGraw Hill, New York.
- Economic Statistics, 1900–1983* (1985), “The Economist”, London.

STRESZCZENIE

Artykuł jest skróconą wersją części II raportu przygotowanego przez zespół wykładowców WSIZ w Rzeszowie na temat problemów Europy. W tekście zwrócono uwagę na to, że żywo dyskutowane problemy kryzysu strefy euro i globalnych turbulencji finansowych są w najlepszym razie problemami średniookresowymi, podczas gdy rzeczywiste problemy Europy (i całego świata zachodniego) są konsekwencją polityk prowadzonych przez dziesięciolecia. A ich skutki są również długookresowe – i negatywne.

Autorzy stwierdzają, że te długookresowe problemy rosnącego ciężaru państwa opiekuńczego i ich konsekwencje m.in. w postaci coraz wolniejszego wzrostu gospodarczego nie są przedmiotem poważnej dyskusji. Zarówno elity z partii tradycyjnych, jak i antyelity z partii skrajnych odrzucają rzeczywistość jako punkt wyjścia do działań naprawczych. Tymczasem z analizy ekonomicznej w prezentowanym tekście wynika, iż bodźce do tworzenia bogactwa są w starych krajach świata zachodniego długookresowo coraz słabsze. Bez znacznych cięć wydatków i innych reform „socjału” sytuacja będzie się dalej pogarszać. Perspektywa trwałej stagnacji w ciągu 5–10 lat jest coraz bardziej prawdopodobna.

Autorzy zwracają uwagę także na psychologiczne i społeczne konteksty przyspieszającej wzrost gospodarczy dynamiki państwa opiekuńczego. Zjawisko „wyuczonej bezradności” pojawia się wówczas, gdy ludzie przestają postrzegać istnienie systematycznych związków między ich własnymi działaniami a uzyskiwanymi efektami. A takie właśnie są następstwa państwa opiekuńczego, przejmującego coraz większą część zabezpieczenia poziomu życia jednostek. Wynikające stąd postawy komplikują jeszcze bardziej szanse na skuteczne reformy i wyjście Europy z pułapki długookresowej stagnacji.

Słowa kluczowe: deficyt budżetowy, państwo dobrobytu, państwo opiekuńcze, wydatki publiczne, stagnacja gospodarcza.

EUROPE AND THE WESTERN WORLD: ECONOMICALLY HARMFUL PHENOMENA WHICH ARE OVERLOOKED OR DISMISSED

ABSTRACT

The paper presents an abbreviated version of the second part of the report on problems of Europe, prepared by a team of teachers at the University of Information Technology and Management in Rzeszow, Poland. We stress therein that the hotly debated problems of the Eurozone and the global financial crisis and its aftermath are, at best, medium-term ones, while real issues Europe faces are of the long-term nature and result from policies pursued for decades. Their consequences are also long-term – and increasingly harmful.

Our diagnosis is as follows. Long-term problems related to the increasing burden of the welfare state and its side effects, like the slowing economic growth rate, are not subject to serious policy debates. It applies to both traditional elites from parties belonging to the moderate political spectrum, and to anti-elites on both extremes. Both elites and anti-elites reject the reality as a starting point to developing corrective policy measures.

Our economic analysis has revealed that incentives to create wealth in *old* Western countries have been weakening for a long time. Yet, without deep cuts in public (especially welfare) expenditures and accompanying institutional reforms, economic performance of European (and generally Western) economies is going to worsen over time. The chances of continued stagnation in the next 5–10 years are very high.

Finally, we look at the socio-psychological behavioral framework of the ever-expanding welfare state. We point at the phenomenon of the *learned helplessness* which appears as a result of the people's lacking perception of linkages between their actions and economic results of these actions. We interpret it as a consequence of the welfare state. It further weakens the prospects for successful reforms and the resultant avoidance of the long-term stagnation.

Key words: budget deficit, economic stagnation, public expenditure, welfare state.

JEL Classification: I38, P16